ŚWIAT

Nr. 27 • 4 • VII • 1931



PANIE UCZĄ SIĘ BOKSU

— CHCESZ POZNAĆ WARTOŚĆ REKLAMY, SPROBUJ SPRZEDAWAĆ SWOJE WYROBY BEZ REKLAMY...

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXVI — NR. 27

WARSZAWA, DNIA 4-go LIPCA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

JÓZEF WEYSSENHOFF

LUDZIE I DOMY

III. STAŃKÓW W MIŃSZCZYŹNIE

Nie zdarzyło mi się widzieć dworu, który tak dalece przesiąkłby charakterem swego twórcy, właściciela i tyrana, jak dwór Emeryka Czapskiego w Stańkowie, w ziemi Mińskiej. Żeby dać wyobrażenie o tej bogatej, pełnej osobliwości siedzibie, trzeba koniecznie zacząć od portretu właściciela.

Ten głośny z wielu względów człowiek nie poszedł wcale w ślady swych przodków, senatorów polskich, ani obrał sobie jednej ze ścieżek udeptanych przez okoliczne obywatelstwo. Ambitny i namiętny, żądny preponderencji i władzy, nie widząc sposobu nasycenia swych aspiracyj w kraju rodzinnym, obrał za pole swego rozkwitu i karjery Rosję. Po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie ze stopniem magistra mineralogji, poszedł na służbę rządową, w której dosięgnął wysokich urzędów: wicegubernatora Petersburga, gubernatora Nowgorodu, szefa departamentu leśnego w ministerjum Dóbr Państwa. Ożenił się z Niemką baltycką, baronówną Meyendorff, z rodziny posiadającej stosunki i wpływy u cesarskiego Dworu. Ale miał wenę tak w karjerze, jak w wyborze żony. Wprowadził do domu panią dobrą, inteligentną i wykwintną. Z karjery zaś urzędniczej zyskał potwierdzenie w Rosji pruskiego tytułu hrabiowskiego dla siebie i swej rodziny, z przydomkiem Hutten —, o który dbał, jak i o tytuł. — Wkrótce po tej zdobyczy poróżnił się z Murawjewem (bodaj że owym katem wileńskim!) i porzucił karjerę urzędniczą na zawsze. — Odtąd zaczyna się nowy Emeryk Czapski, nie obcy już Polsce, a nawet w pewnym zakresie wielce Jej zasłużony.

Poznałem go po tej metamorfozie, która zaszła przed mojem wstąpieniem do uniwersytetu w Dorpacie. Zaimmatrykulowany jednocześnie z synami pana Emeryka: Karolem i Jerzym Czapskimi — zaprzyjaźniłem się z nimi odrazu i zająłem wspólne z nimi mieszkanie. Te okoliczności pociągnęły za sobą moje odwiedziny w Stańkowie, następnie starsi państwo Czapscy zjechali na dłuższy pobyt do Dorpatu — i wywiązała się ścisła moja komitywa z całą tą rodziną, prawie familijna, chociaż nie byliśmy wcale w pokrewieństwie.

Mocnym łącznikiem między mną a panem Emerykiem była namiętność zbierania starych zabytków polskich, zwłaszcza numizmatów, do której ja byłem usposobiony od wieku dziecięcego, a którą on uprawiał z prawdziwą furją i po mistrzowsku. Nie widziałem nigdy tak zajadłego zbieracza. Zbieranie polskich książek z XVI-go wieku, polskich rycin, sreber, tkanin, broni, farfurów, a szczególniej monet i medali, było już wtedy, gdym go poznał, najważniejszą sprawą życia Czapskiego i pozostało nią do końca, aż do ukoronowania dzieła przez założenie wspaniałego muzeum Czapskich w Krakowie.

Wkrótce po zabraniu znajomości z tym niepospolitym człowiekiem dowiedziałem się dawniejszych szczegółów jego biografji i zadawałem sobie często pytanie, jakim piorunem łaski Boskiej rażony ten petersburski Szaweł stał się nagle

polskim Pawłem — krzewicielem kultury i budowniczym przybytków polskiej sztuki starożytnej? Trzeba chyba przypuścić, że jakieś gwałtowne nadąsanie na Ojczyznę pchnęło go niegdyś na tory rosyjskie, a gdy się im wyrwał, tem żarliwiej nagradzał to zboczenie przez chwalebne czyny polskie. Z rasy czysto polskiej (pochodzistość bowiem od Huttenów należy do zamierzchłych legend), syn Obuchowiczówny, wnuk ks. Radziwiłłówny, Emeryk Czapski miał dziedziczne narowy dawnych „królewiąt", poczuwał się też zapewne do prawa rokoszu przeciw Ojczyźnie. Polskie sumienie zawróciło go przecie w połowie życia od pańskich fantazji do obywatelskich obowiązków. W okresie, gdym go znał, był to już rokoszanin nawrócony.

Dom w Stańkowie, centralny w rozległych dobrach ziemskich, postawił sam pan Emeryk według swych potrzeb i upodobań — wielki piętrowy czworobok bez pozy na zamczysko, bez troski też o wystawne sale dla licznych gości — raczej kolosalną szkatułę dla pomieszczenia najdroższych „zbiorów". Gabinet władcy był przybytkiem numizmatyki z żelaznemi szafami, zawierającemi monety, medale, ordery. Nad kominem była śliczna panoplja, złożona z broni polskiej. Bibljoteka, chociaż miała w pobliżu domu wystawioną dla siebie specjalną rotundę, przenosiła się powoli do wnętrza pałacu; za mojej pamięci ogarnęła pokój bilardowy i wyparła z niego bilard, wcisnęła się i do mniejszego salonu. Sala jadalna była wystawą ceramiki, przeważnie polskiej. Parapety wszystkich okien parterowych wykonane zostały z dobranych odmian kieleckich marmurów. W salonach obrazy nie były przygodne; należały chyba wszystkie do kolekcji malarzy, lub do serji portretów i pamiątek rodzinnych. Słuckie pasy ułożone były za szkłem, z widocznemi markami fabrycznemi. Aż do pokojów gościnnych sięgała rozgałęzieniami kolekcja rycin w charakterze ozdoby ścian i parawanów. Na szczęście, wszystkie prawie artystyczne i archeologiczne wartości tego muzeum przeniesione zostały do Krakowa jeszcze przed końcem zeszłego stulecia. W Stańkowie gospodaruje dzisiaj Bolszewja — — —

Z panem Emerykiem Czapskim byłem w przyjaźni zupełnie wyjątkowej, chociaż należałem wyraźnie do pokolenia i do stronnictwa jego synów, z którymi on miewał ustawiczne zatargi. Ale moja komitywa z obu pokoleniami przydawała się często do pośrednictwa między niemi łagodzącego. Godzić ojca z Karolem było trudniej, gdyż obaj mieli natury niezależne i tyraniczne, a rozterki wynikały na tle ważniejszych dyrektyw życiowych. Ale i to mi się czasem udawało. Nieporozumienia zaś ojca z Jerzym miały zawsze za przedmiot nadmierne grzęźnięcie Jerzego w pospolitych rozkoszach dorpackiego życia, przyczem pan Emeryk wpadał czasem w furję srodze nieparlamentarną, chociaż uzasadnioną, Jerzy zaś miał do burszowskich nałogów skłonność graniczącą z przekonaniem o ich konieczności. Że zaś ten zacny i prawy człowiek był zawsze łagodnego usposobienia i nienawidził kłótni, zwykle w wypadku lub przeczuciu kolizji z ojcem zwracał się do mnie:

— Daj tam staremu jakiegoś szeląga, żeby się uspokoił!

Wiedział bowiem, że jedynie zaciekawienie numizmatyczne zdolne jest zażegnać burzę w sercu pana Emeryka. Ja zaś miałem już i w Dorpacie zbiór numizmatów, a znając wybornie zbiór Czapskiego i jego katalogi, wiedziałem, jakiej tam odmiany szeląga, czy innej monety przezemnie posiadanej, brak w skarbnicy stańkowskiej. — Dawało się zatem staremu szeląga, co skutkowało niechybnie.

Długoletnie moje stosunki z Emerykiem Czapskim nie ograniczały się do numizmatyki, choć to była ich treść główna. Odbywaliśmy we dwóch wycieczki do Rygi, do Rewla, a następnie, gdym skończył uniwersytet, widywaliśmy się to w Warszawie, to w Stańkowie, to u mnie w Samoklęskach. Pojechaliśmy też razem do Piotrkowa, gdzie nabyłem z pomocą Czapskiego wyborny zbiór monet od Kazimierza Strończyńskiego, słynnego numizmatyka. Te spotkania i wycieczki, choć miały zawsze u celu jakąś ponętę zbieracką, pozostawiały wiele czasu do innych rozmów; pan Emeryk, choć o pokolenie starszy, darzył mnie zaufaniem i konfidencją. Poznałem więc różne jego przeżycia studenckie i minione awanturki miłosne, które lubił wspominać. Lubił też opowiadać o sposobach i sztuczkach, których używał przy swych łowach antykwarskich. Parę tych anegdot charakterystycznych uwięzło mi w pamięci.

Część bibljoteki Załuskich, zrabowanej w Warszawie, znajdowała się w Petersburgu na poddaszu jakiegoś gmachu. Czapski spenetrował, że z tego poddasza wynoszą często książki na ulicę. Do ich emigracji postanowił przyczynić się hurtownie i ułożył się z „chranitielem" bibljoteki, że będzie brał z poddasza książki według swego wyboru, po 10 rubli za pud — — Wyobrażam sobie, ile taki pud wybrany przez znawcę polskich druków kosztowałby u antykwarjusza!

Innym razem trafił do Krzemieńca, do zbioru monet pozostałych tam po Tadeuszu Czackim; zbiór miał być wkrótce przeniesiony do Petersburga razem z innemi walorami skasowanego Lyceum. Kustoszem do czasu był jakiś poczciwy ksiądz. Jął Czapski temu księdzu tłómaczyć, że trzebaby wyratować ze zbioru choć parę sztuk, a mianowicie dwa dukaty koronne Zygmunta I-go, najwyższej rzadkości, których brakło w kolekcji stańkowskiej. — Ale dukaty zapisane były w katalogu. Nieustraszony zbieracz znalazł na to sposób: dostał natychmiast w mieście dwa stare dukaty bylejakie, sprowadził sobie toczydło i ścierał powoli z tych dukatów wizerunki i napisy, aż pozostały na nich tylko ślady jakiegoś portretu i nieskładnych liter. Sztuki tak przyrządzone położono na miejscu dukatów Zygmunta I-go jako „źle zachowane", a oryginały przeszły do kolekcji stańkowskiej. Kustosz zgodził się na tę pobożną malwersację ze względu na wyratowanie cennego polskiego zabytku z rąk niewiernych i nie wziął za to wynagrodzenia. I rzeczywiście oba te dukaty, jak i książki z bibljoteki Załuskich nabyte po 10 rubli za pud, zdobią obecnie publiczne muzeum Czapskich w Krakowie. Chociaż trudno zalecać albo naśladować ten sposób kolekcjonowania, nie można się oprzeć wrażeniu, że ostatecznie dobrze się stało.

Tylko w obu przytoczonych zdarzeniach nie należy posądzać Emeryka Czapskiego o chęć, a tembardziej system wyłudzania cennych rzeczy za darmo. Był owszem na swe zbiory nadmiernie rozrzutny, a gdy nie mógł czegoś dostać za cenę umiarkowaną, przepłacał. Tak np. nabył dukata Władysława Łokietka, sztukę jedyną i bardzo ważną, za 3000 rubli. Nie słyszałem nigdy, aby która moneta polska doszła do tej ceny, a znam rynek numizmatyczny dokładnie przez ostatnie lat pięćdziesiąt. Czapski umiał wypraszać, wyciskać, wyrywać od ludzi przedmioty potrzebne mu do zbiorów, lecz zawsze za zgodą właściciela i za stosowną zapłatą.

W tysiącznych tranzakcjach i zamianach, które przeprowadziłem z tym fanatykiem swego muzeum, nigdy nie poczułem się pokrzywdzonym.

W ostatnich dwóch dziesiątkach XIX-go wieku i swego życia pan Emeryk był już wyłącznie tylko zajęty zbieraniem, katalogowaniem i budową swego muzeum. W Stańkowie, gdzie byłem kilka razy, nie trafiłem na jakieś liczniejsze zebranie towarzyskie. Ludzie, którzy nie znali arkanów starożytnictwa, nie byli tam przyciągani, ani zatrzymywani. Póki zaś żył pan Emeryk, on jedynie stanowił o stylu domu i o jego frekwencji. — Ponieważ był to człowiek żywej inteligencji, dużej erudycji i wielkiej fortuny, możnaby mu zarzucić jednostronność w używaniu tych zasobów. — Ale, gdy kto w swej pożytecznej specjalności doszedł do tak pomnikowych wyników, zasłużył sobie na chlubne imię w narodzie.

Jak wspomniałem, pan Emeryk nie żył we wzorowej harmonji z synami. Starszy Karol, którego w Dorpacie nazwaliśmy „Moralistą" z powodu jego manji nauczania i strofowania kolegów, wyrósł następnie na rzutkiego i przedsiębiorczego działacza w Mińsku, gdzie został prezydentem miasta. Energiczny, arbitralny i w tem podobny do ojca, inną jednak obrał drogę działalności, ekonomicznie twórczą. Ale zabrała go śmierć przedwczesna. Młodszy Jerzy przez całe życie pozostał burszem dorpackim. Ceniony dla swej prawości, kochany dla swego wdzięku towarzyskiego przez wszystkich, którzy go znają zbliska, nie wykonał jednak nic wyraźnie doniosłego. — Liczne jest potomstwo obu braci: Karola z Marji Pusłowskiej i Jerzego z hrabianki Thun-Hohenstein. Całe to młode grono, pełne wdzięków i zalet, a zarazem instynktów jakichś wędrownych i apostolskich, niełatwo znajdujące sobie miejsce w swych przyrodzonych warunkach bytu, oryginalne czasem aż do dziwactwa, ale wartościowe w duszach, mogłoby być przedmiotem ciekawego studjum i długich wywodów o krzyżowaniu ras i dziedziczności. Ale nie pora o tem pisać, dopóki się ta bujna młodzież nie wypowie zupełnie. — Zauważę tylko, że zapadnięcie po wojnie w przepaść rosyjską wielkiej fortuny Czapskich, która cała znalazła się po złej stronie kordonu, wpływa w ogromnej mierze na rozpierzchłość i dezorjentację młodego pokolenia.

Choć bywałem świadkiem wielu ostrych starć między ojcem i synami Czapskimi, nie pamiętam żadnej przykrej kolizji między panem Emerykiem a jego małżonką. Pani Liza (Elżbieta), córka rosyjskiego dyplomaty bar. Meyendorffa, urodzona z matki hrabianki Stackelberg, nie była oczywiście Polką. Gdy poślubiła w r. 1854 Emeryka Czapskiego, był on urzędnikiem rosyjskim i mieszkał w Rosji; pani Liza nie potrzebowała wówczas przerabiać się na Polkę i nie miała nawet tego obowiązku. Ponieważ jednak zawsze uznawała za stosowne dostrajanie się do potrzeb i aspiracji męża, gdy ten mąż zmienił radykalnie sposób i zasady życia, poszła za nim bez szemrania, chociaż wypadło to w późniejszym okresie, już podczas dorastania dzieci. Choć tęskniła zawsze do wspomnień młodości, do swego Suddenbachu w Estonji i do salonów petersburskich, gdzie miała wszystkich swych krewnych, przesiadywała stale z mężem w Mińszczyźnie, następnie w Krakowie. Pomagała mu czynnie w jego pracach archeologicznych polskich, robiła np. śliczne rysunki z monet, niektóre umieszczone w wydanych drukiem katalogach; po śmierci męża pilnowała gorliwie w Krakowie wydawnictwa ostatnich tomów katalogów monet i rycin. Niepowołana ani przez pochodzenie swe, ani przez żądanie męża do szerzenia polskiego obyczaju i polskiej kultury, pani Liza nie działała w tym kierunku czynnie, lecz nie przeciwiła się też bynajmniej. Nie mogła naprzykład nauczyć synów dobrze mówić po polsku, bo sama zaledwie władała tym językiem. Pełniła tylko skrupulatnie swe obowiązki żony i matki, rzec można: międzynarodowe.

Tyle powiedzieć można o jej roli w rodzinie. Ale pomijając jej cudzoziemski styl, czy sposób bycia, była to dama niepospolicie dystyngowana, bo wyróżniająca się przez prawdziwe cnoty i ozdoby inteligencji, nie tylko przez formy towarzyskie. Pochodząc z rodziny dyplomatów, miała sposób wyrażania się ostrożny, manjery ceremonjalne, pod któremi kryły się jednak wielki takt i dobroć. Dzieci i wnuki miały do niej serdeczne zaufanie, a burzliwy małżonek liczył się z jej zdaniem i modyfikował pod jej wpływem swe despotyczne wyroki. Nie słyszałem zaś nigdy jakiejś żywszej między małżeństwem sprzeczki; pani Liza zasadniczo uznawała władzę męża.

Pani Emerykowa Czapska okazywała mi dużo przyjaźni za to, żem potrafił nieraz wsączyć trochę oliwy do tarć między jej mężem a synami: że byłem zatem jej pomocnikiem w tej nieodzownej akcji rodzinnej. Jeszcze w Dorpacie chciała dopełnić mojej edukacji przez nauczenie mnie angielskiego języka, co nie udało się jedynie z powodu mojej opieszałości. Następnie zaszczycała mnie stale względami. Ofiarowała mi ex-libris sztychowane do mojej bibljoteki i t. p. Lubiłem zawsze rozmowę z tą wykwintną i dobrą panią, a tem bardziej w późniejszym wieku, gdy mogłem lepiej ocenić jej urok typowy i osobisty.

Po dłuższem niewidzeniu, spotykałem hrabinę Czapską podczas wielkiej wojny, w Mińsku w roku 1915—16, gdzie przebywała z synem Jerzym i jego dorosłemi dziećmi. Dochodziła już wieku lat 80, przeżyła męża o lat kilkanaście. — Ale właśnie wtedy była chyba najidealniej dorysowana w swym uroczym typie. Schudła, stała się prawie powiewną, lecz jakby żywszą w ruchach, już wątłych i mniej pewnych. Nie utraciła zaś wcale pamięci, wzbogaciła ją owszem szeregiem nowych przeżyć i wspomnień. Pomimo przeżytego wieku i różnych rozczarowań, pomimo groźnego trzasku walącej się już fortuny, zachowała pogodę duszy i uśmiech, jakoby już wiekuisty. Pozbyła się nawet dawniejszej zbytniej ceremonjalności. Mieszkałem podówczas w Mińsku około roku i zawiązałem znowu żywe stosunki z całą rodziną Czapskich; zaś do Matki rodu przychodziłem nie z konwencjonalnego respektu, lecz dla serdecznej przyjemności. Wspominaliśmy czasy dorpackie i stańkowskie, które ona lepiej chyba odemnie pamiętała, aż do tych drobiazgów, które obojętne dla obcych, dla uczestników dawnych dobrych dni życia są niby elektrycznemi dotknięciami minionych nastrojów i wrażeń. Przypominała moje żartobliwe wyrazy, jakieś nieudolne, lecz pocieszne rysunki, jakieś koleżeńskie wiersze. Dziwiłem się i cieszyłem, że te okruchy zamierzchłego życia mają cenę i dla Niej.

Gdym wyjeżdżał z Mińska do Kijowa, na wiosnę 1916 r. na pożegnanie z panią Emerykową Czapską, przyniosłem jej róże — pierwsze i ostatnie w życiu. Gdym się w kilka miesięcy potem dowiedział o jej śmierci, uczyniła się pewna pustka w moim świecie wspomnień czcigodnych i kochanych.



WYSTAWA ANNY ROMEROWEJ W PARYŻU





1. DWOREK POLSKI NA INFLANTACH. — 2. KWIAT I KWIATKI. — 3. W KOŚCIELE Fot. Roseman

W każdym obrazie p. *Anny Romerowej* czuć ukochanie ogromne kraju rodzinnego. Są to prawdziwe ewokacje czaru dawnych Inflant Polskich, zachowały one tyle więzów niezniszczalnych z Macierzą. W atmosferze tych domów o portykach i kolumnadach, które obwija bluszcz i dzikie wino, w parkach ozłoconych wczesną jesienią, usrebrzonych szronem, wśród pól i wiosek o chałupkach pod strzechą słomianą tulących się z ufnością przy boku starych drewnianych kościołów — czujemy się w domu, u siebie, jak i na Litwie. A chociaż istnieją pewne odmiany rasowe pomiędzy chłopem z Polski środkowej a pięknym o smętnej zadumie ludem tych okolic, jakże dużo wspólnego nastroju, pokrewnej harmonji malowniczych strojów i nawet urody odnajdujemy u tych dwuch szczepów jednego ongiś narodu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Trudną technikę akwareli p. A. Romerowa świetnie opanowała. Powiedziałbym tylko, że grzeszy nadmiarem... sumienności. Wysiłek oddania wiernie tematu zmusza ją do traktowania jednako każdego szczegółu. W rezultacie zatraca się różnica pomiędzy planami podrzędnemi a centralnemi węzłami kompozycji — wszystko widzimy z tą samą precyzją i dokładnością. Temat zanadto ujarzmia piękną indywidualność artystki.

Osobno wypada podkreślić wśród tych ujmujących kart życia polskiego na kresach wartość ciekawych portretów Romerowej. Szczególnie uderzył nas doskonały portret ambasadora polskiego w Londynie, p. Skirmunta.

E. Woroniecki



1. Manifestacje Basków, domagających się niepodległości. W mieście Estella przed teatrem separatyści-baskowie uchwalili odłączenie się od Hiszpanji. 2. Przed lotem Zeppelina do bieguna Północnego: próby nad jeziorem Wansee. Konstruktor dr. Eckner po locie tym postanowił porobić odpowiednie zmiany, wzmacniając trwałość aparatury przy lądowaniu na wodzie. 3. Król murzyński Alafin (Zachodnia Afryka) posiada 400 żon i 600 dzieci; tron jego jest z kości słoniowej, korona z czystego złota, ściany komnaty wybite są cennym jedwabiem. 4. Najświętsza Marja Panna— patronka Brazylji: uroczyste procesje

Fot. New-York—Times.



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Jeszcze urzędnicy państwowi nie zdążyli dostosować swych skromnych budżetów do obniżki 15-stoprocentowej, gdy spadła na nich nowa klęska—pozbawienie dodatków stołecznych, budowlanych, a częściowo i kresowych. Nic też dziwnego, że po biurach, zwłaszcza warszawskich, zapanowała rozpacz. Na tem jednak nie ma się skończyć Golgota urzędnicza: zapowiedziano redukcję siódmej części zatrudnionych w służbie państwowej pracowników; w niektórych urzędach już nastąpiły wymówienia.

Wszystko to działa tembardziej przygnębiająco, że stało się nagle, bez przygotowania, a nawet wbrew oficjalnym oświadczeniom kierowników nawy państwowej przed i podczas rozpraw budżetowych. Rzeczywistość swą grozą przeszła najpesymistyczniejsze przepowiednie opozycji. Jak się to odbija na politycznych nastrojach kraju — nie trzeba precyzować.

Ale smutniej jeszcze wyglądają prognostyki gospodarcze. Ratowanie równowagi budżetowej przez pauperyzację stanu urzędniczego, zwłaszcza w stolicy, gdzie reprezentuje on przynajmniej połowę ludności o potrzebach i aspiracjach kulturalnych, katastrofalnie odbija się na obrotach handlowych i na całem życiu publicznem państwa.

Już dzisiaj zgłaszają urzędnicy gremjalne wystąpienia z instytucji społecznych, wyrzekają się teatrów, książek, czasopism, zapowiadają niepłacenie nietylko dobrowolnych składek, ale i rat za pobrane towary i otrzymane świadczenia. Kooperatywy mieszkaniowe otrzymały od swych członków ze sfer urzędniczych zawiadomienia, że ci nie będą mogli wywiązać się z przyjętych na siebie zobowiązań. Banki zarządziły dalsze restrykcje kredytowe w przewidywaniu wzrostu liczby zaprotestowanych weksli. Wszyscy kupcy w Warszawie oświadczają, że w dniu ogłoszenia uchwały Rady Ministrów o zniżeniu poborów — ruch w sklepach upadł zupełnie: jakby ręką uciął.

Wszystko to świadczy, że nowe zarządzenie rządu spotęguje kryzys gospodarczy, który i tak nas gnębi nielitościwie. Po wyniszczeniu wsi polskiej, nadchodzi teraz ruina miast. I z nikąd nie widać ratunku! I nikt nie wskazuje drogi wyjścia!

. . . .

(V.) Pozbawienie funkcjonarjuszy państwowych minimum egzystencji — poza skutkami ekonomicznemi — może mieć jeszcze inne opłakane następstwa: zachodzi obawa, żeby doprowadzeni do ruiny urzędnicy, ratując dzieci swe przed głodem, nie chwycili się tych środków polepszenia swego bytu, które dobrze znamy z czasów rosyjskich i które mają jeszcze dotychczas pełne prawo obywatelstwa w niektórych państwach wschodnich, mało dbających o swych funkcjonarjuszy i pozostawiających im zdobywanie dobrobytu własnym sprytem.

Entuzjazm zarania naszej państwowości i dobroczynny wpływ urzędników z dzielnicy po-austrjackiej i po-pruskiej zapobiegł zarażeniu Kongresówki i Kresów wschodnich zwyczajami, panującemi tu w czasach rosyjskich. Zdarzały się w naszych urzędach wielkie nadużycia, ale łapownictwo, jako objaw nagminny i tolerowany, nie było znane. Obawiać się trzeba, żeby nie przedostało się ono teraz do biur państwowych, gdy uposażenie normalne i legalne zostało nagle radykalnie obcięte. Taka gangrena moralna byłaby nową klęską państwową, dodaną do wszystkich innych.

. . . .

(Wig) Przyparci do muru kryzysem gospodarczym, z radością powitaliśmy myśl Hoovera ogłoszenia Europie moratorjum: nam by ono także przyniosło pewną ulgę. Ale w stokroć większym stopniu przysłużyłoby się Niemcom, sprzyjając dążeniu do zburzenia planu Younga i wzmacniając jeszcze bardziej ich agresywność wobec Polski.

Ta sprzeczność między perspektywami ekonomicznemi a konsyderacjami politycznemi wywołała rozdwojenie uczuć polskich w stosunku do propozycyj amerykańskich. Dopiero stanowisko, zajęte przez Francję, usuwa wszelkie rozbieżności: Odroczenie spłat na rok — dobrze, ale za ten zysk Niemcy muszą uznać nienaruszalność planu Younga i zaniechać wywrotowej kampanji nacjonalistycznej, zagrażającej pokojowi.

Taka opinja rządu p. Lavala, sformułowana dzięki francuskiemu darowi syntezy, zyskała sobie poparcie w parlamencie i — jest nadzieja — będzie uznana przez Amerykę. Odpowiada też ona całkowicie interesom naszym.

Jeszcze raz okazało się, że polityka francuska i polska są zgodne we wszystkich zasadniczych punktach, a w chwilach zwrotnych wspólność ta nabiera szczególnej wyrazistości.

. . . .

(Old) Lato — niebezpieczny czas dla dyplomatów. Pamiętamy dobrze, że gdy 28 czerwca 1914 r. padły strzały w Sarajewie, zwiastujące wojnę wszechświatową, prawie wszyscy posłowie i ambasadorowie byli nieobecni w miejscu swego urzędowania i cała nawałnica rozmów, układów, raportów i instrukcyj spadła na barki nieszczęsnych chargés d'affaires.

Coś podobnego zdarzyło się teraz naszemu przedstawicielowi w Waszyngtonie. Gdy zapanowały upały w stolicy Stanów Zjednoczonych, nadesłał on do M. S. Z. szczegółowo i poważnie uzasadniony raport, że sezon polityczny skończył się, w biurach rządowych zaległa cisza i że on, nie mając nic do roboty w Waszyngtonie, wyjeżdża dla złapania powietrza na szeroki ocean.

List ten nadszedł do Warszawy... jednocześnie z depeszą o inicjatywie prezydenta Hoovera w sprawie moratorjum dla Niemiec. Nic dziwnego, że na ul. Wierzbowej zapanowała konsternacja: Czy szukać naszego ambasadora przez radjo na Oceanie Spokojnym czy też na Atlantyckim?

A „przydzieleni do kurytarza" dyplomaci kiwają pobłażliwie głowami:

— Siła przyzwyczajenia. Zdawało mu się, że to tak łatwo powrócić, jak z Ostendy do Brukselli.

. . . .

(s) Analiza wszystko wiedzących publicystów odsłoniła tajniki hu-

manitarnej w stosunku do Niemiec akcji prez. Hoovera. Kapitał amerykański zaangażował się tak dalece w przemyśle niemieckim, że bankructwo tego przemysłu byłoby katastrofą finansową dla obywateli Stanów Zjednoczonych. Więc chcą dopomóc chwiejącemu się wierzycielowi, by uratować własne kapitały.

W świecie handlowym, gdy wierzyciele udzielają tego rodzaju moratorjum, rozciągają nad wydatkami dłużnika, nad sposobem jego życia i metodami prowadzenia interesów ścisłą kontrolę. Nigdy, od czasu zawieszenia broni, nie było lepszej okazji do postawienia Niemcom tego rodzaju klauzul.

— Żądacie pomocy? Dobrze. Ale musicie zobowiązać się do szanowania traktatów, do zaprzestania zbrojeń, do zaniechania nieustannych wichrzeń w stosunku do sąsiadów. Musicie przestać być nieustanną groźbą dla pokoju europejskiego i światowego. Musicie pogodzić się z losem, o którym zadecydował wynik wojny.

Jeśli Europa tej okazji we właściwym stopniu nie wykorzysta, sama dobrowolnie zostawi płonącą głownię w prochowni.

. . . .

(sk) Polska ma niewiele pomników. Warszawa zwłaszcza jest pod tym względem, w stosunku do innych stolic europejskich, bardzo upośledzona.

Od chwili wskrzeszenia niepodległości już postawiono w Warszawie parę pomników, na prowincji — kilkadziesiąt. Jedne i drugie przeważnie są nieudałe.

Aby pomnik stał się istotną ozdobą miasta, potrzeba dwóch warunków: talentu rzeźbiarza i odpowiednich funduszów. Zdaje się, że znacznie łatwiej u nas o talenty rzeźbiarskie, niż o fundusze. Pożądanem przytem byłoby, aby raz na zawsze ustalono zasadę, że na placach czy w ogrodach publicznych niedopuszczalne są igraszki eksperymentalne, któremi pewni artyści chcieliby zadziwiać przechodniów. Wzorem powinny być dwa najpiękniejsze pomniki, jakie Warszawa posiada, a które, niestety, wyszły z pod dłuta cudzoziemca, — pomniki Poniatowskiego i Kopernika. Niebawem stanie na placu Teatralnym bardzo ładny w swej skromnej postaci pomnik Wojciecha Bogusławskiego, dzieło Szczepkowskiego. Piękny niechybnie będzie pomnik Wilsona w Poznaniu, którego odsłonięcie ma nastąpić w najbliższych dniach.

Zaprojektowanych w Warszawie pomników jest dużo. Wittig kończy pomnik ku czci poległych lotników. Na Placu Zbawiciela ma stanąć postać Chrystusa-Króla. Na dalszym planie figurują pomniki Słowackiego, Kościuszki, bohaterów włoskich, którzy zginęli w walkach za Polskę, wreszcie Kraszewskiego i biust Napoleona.

Najgorzej bywa w mniejszych miastach prowicjonalnych. Tam już ambicja władz lokalnych (może także chęć zwrócenia na się uwagi władz centralnych) jest nierównie większa od środków i od kompetencji. Pomniki bywają przeważnie wznoszone według pomysłów miejscowych genjuszów. Przeważnie są dokumentami dobrej woli, ubóstwa i zupełnego braku poczucia piękna. Skoro tylko „konjunktury" cokolwiek się poprawią, trzeba będzie usuwać te świadectwa złego smaku i niedostatku.

Czy nie lepiej byłoby okazać trochę cierpliwości, zbierać pieniądze powoli i przystępować do realizacji dopiero wtedy, gdy zgromadzona zostanie suma, wystarczająca na taki pomnik, który byłby nie tylko aktem czci dla zasługi, ale także dziełem sztuki trwałej wartości?...

. . . .

(sk) O ileż nasze życie jest bogatsze, niż było życie naszych ojców i dziadów! Przekonałem się o tem pewnego wieczora, gdy po kilkotygodniowym strejku kinematografów postanowiłem nasycić oczy żywemi i mówiącemi obrazami. W „Kino-Palace" na Chmielnej znalazłem się na szczytach Mont-Blanc. Cóż za cudowne widoki górskie! Pola lodowcowe, olbrzymie zwały śniegów, rozpraszające się w groźnych lawinach, niedosiężne przepaście, ciężkie chmury, wlokące się leniwie po zboczach gór... tyle, tyle innych cudownie pięknych rzeczy! Zdawało mi się, że oddycham przeczystem powietrzem alpejskiem, mróz chodził mi dreszczem po plecach. Wstąpiłem potem do „Światowida" i znalazłem się na wyspach polinezyjskich, w skwarnym upale podzwrotnikowym, wśród palm i bujnej zieleni. Ocean, tak niesłusznie zwany Spokojnym, huczy potężną falą, poławiacze pereł walczą z rekinami, ładne ciemne dziewczę snuje swą prostą, naiwną i tragiczną sielankę miłosną wbrew świętym prawom „tabu"...

Jednego wieczora byłem na szczytach Mont-Blanc i na niespokojnych wodach Oceanu Spokojnego. Żyłem życiem uczonych, studjujących gwiazdy w zasypanych śniegiem obserwatorjach na podniebnych wysokościach, — i życiem prostodusznych polinezyjczyków, smażących się stale w żarze nielitościwego słońca, na wybrzeżach Oceanu, i lubiących namiętnie pieczeń z wroga, a nawet i nie z wroga...

I-SZY KONGRES EUCHARYSTYCZNY DJECEZJI WŁOCŁAWSKIEJ ODBYŁ SIĘ W KALISZU



PRZYBYCIE I POWITANIE JEGO EKSELENCJI BISKUPA KS. KAROLA RADOŃSKIEGO PRZEZ GENERALNEGO SEKRETARZA KS. KAN. MIECZYSŁAWA JANOWSKIEGO W KALISZU W PRZEDDZIEŃ UROCZYSTOŚCI DNIA 26 BM.

Kleksy na bibule

PAN BENOIST

Autor popularnej *„Atlantydy"* i sensacyjnego *„Koenigsmarku"*, pan Piotr Benoist otrzymał szpadę akademicką i nieśmiertelny fotel. Więc, oczywiście, odwiedzili go natychmiast dziennikarze niesyci wywiadów. Jednemu z interwiewerów pan Benoist oświadczył:

— Wie pan, co mi sprawia przyjemność? Że zostałem wybrany do Akademji Francuskiej razem z generałem Weygandem.

Generał Weygand nie powiedział wywiadowcom prasowym, że mu sprawiło przyjemność „unieśmiertelnienie się" jednocześnie z panem Benoist.

Gonzaga.

Juljan Apostata w nowem oświetleniu naukowem

Juljan Apostata jest jedną z tych postaci historycznych, które zawsze nęciły poetów. Zajmował się nim Wolter, Alfred de Vigny czerpał zeń natchnienie do swej „Daphne". Ibsen uczynił go bohaterem wielkiego dramatu w dwóch częściach, a raczej dwóch dramatów, stanowiących jedną całość. Mereżkowski osnuł znaną, na wszystkie języki tłomaczoną powieść...

W ubiegłym roku francuski uczony M. J. Bider wydał pierwszy tom listów „Apostaty" p. t. „Życie cesarza Juljana". Obecnie ukazała się w Paryżu książka księdza E. Fleury p. t. „Św. Grzegorz i jego czasy", w której znalazły się zgoła nowe szczegóły o współczesnym Św. Grzegorzowi imperatorze Byzancji.

Był to czwarty wiek ery chrześcijańskiej, okres panowania cesarza Konstantyna. Zaczął on swe rządy, jak większość władców Byzancji, od wymordowania tych wszystkich członków rodziny, którzy mogliby stać się jego rywalami. Nikt się temu wówczas nie dziwił, była to utarta zwyczajem metoda polityczna. Ocaleli cudem dwaj młodzi kuzyni cesarza, Gallus i Juljan. Ten ostatni właśnie miał z czasem zostać zastępcą Konstantyna, miał być tym Cezarem, który według pouczeń historji stawił zawzięty opór rozwojowi chrześcijanizmu, jako kierunkowi demokratycznemu i rewolucyjnemu, a bronił zagrożonego poganizmu, — któremu legenda nadała miano „Apostaty".

Juljan, sierota, wychowywał się w ustronnej rezydencji w Kapadocji, starannie kształcony przez wydelegowanych umyślnie biskupów. Dopełnia edukacji w Atenach. Tam studjuje Arystotelesa i Platona, tam staje się gorącym wyznawcą kultury helleńskiej. Misterja w Eleusis pociągają go nierównie silniej, niż praktyki chrześcijańskie. Daremnie Św. Grzegorz, który się z nim wówczas styka, probuje zbliżyć go do nauki Chrystusa. Poganizm helleński ma dla cesarskiego młodzieńca nierównie więcej uroku.

Lecz oto wkrótce zmieniają się losu koleje. Cesarz Konstantyn wysyła Juljana do Włoch, by tam reprezentował jego władzę. Juljan osiada jako zastępca Cezara w Turynie, potem zaś, uporządkowawszy stosunki z Galją, przez cztery lata bawi w Lutecji, — w dzisiejszym Paryżu, który wówczas cały mieścił się na wyspie Św. Ludwika — na tej „L'Ile Saint-Louis", opasanej Sekwaną, na której wznosi się stary Hotel Lambert Czartoryskich i gmach Biblioteki Polskiej (Quai d'Orleans). Juljan już wtedy, (w IV wieku po Chrystusie) chwali sobie pobyt tamtejszy. Pisze:

— „Spędziłem zimę w mojej kochanej Lutecji. Tak się nazywa mała stolica galijska. Rozsiadła się ona na szczupłej wysepce, otoczonej wodą. Dostęp do niej dają dwa mosty drewniane. Rzeka nie odczuwa suszy letniej, ani deszczów zimowych. Woda w niej miła jest oku i przyjemna w smaku. Zima nie jest tu sroga. Przypisują to bliskości oceanu, który czyni klimat umiarkowanym. Wydaje się bowiem, że woda morska jest naogół cieplejsza, niż rzeczna. W każdym razie ludność tutejsza ma dobre winnice, i hoduje nawet drzewa figowe, które na zimę okrywa starannie słomą"...

Juljan, jako wielkorządca Gallów i Franków, zdobywa sobie sympatje podbitych ludów. Dzierży władzę mocno, lecz przestrzega ładu i sprawiedliwości.

Cesarz Konstantyn, wplątany w wojnę z Persją, wpada na myśl, żeby wzmocnić swe wojska posiłkami z Galji. Ale żołnierze Juljana nie mają ochoty umierać w Azji za Konstantyna. Buntują się przeciw rozkazowi, narzuconemu w Byzancji, porywają Juljana, podnoszą go na tarczy, obwołują imperatorem. Juljan usiłuje znaleźć drogę wyjścia; proponuje Konstantynowi podział Imperji. Ten odmawia. Wbrew swej woli i chęci, Juljan zmuszony jest opuścić słodkie pobrzeże Sekwany. Przechodzi Rubikon, idzie zetrzeć się z prawym władcą Cesarstwa. Do walki jednak nie dochodzi. Konstantyn w porę umiera.

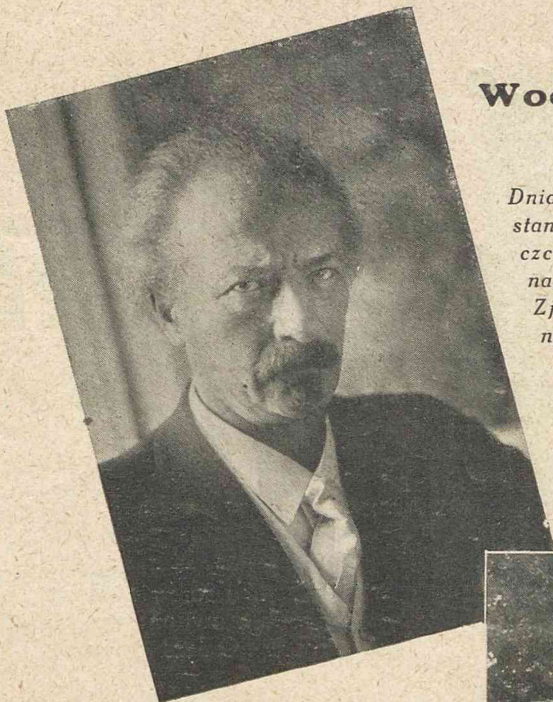
Chrześcijanie wyrobili Juljanowi reputację, jakoby był bardzo złym cezarem. Szczególniej w tym względzie zaszkodził mu Św. Grzegorz. Pochodziło to stąd, że Juljan był zdecydowanym przeciwnikiem chrześcijanizmu, że chrześcijan usuwał stanowczo od wszelkich wpływów w państwie. Oczywiście, o rządach Juljana pozostało nader mało dokładniejszych, stwierdzonych wiadomości.

Z wywiadów księdza Fleury można przecież wnioskować, iż Juljan miał wysokie pojęcie o swem posłannictwie, że jego idee polityczne były szerokie i mądre. Już Montaigne wyraził opinję, że cesarz Juljan był „wielkim i rzadkiej wartości mężem". Wolter upatrywał w nim drugiego Trajana, Marka Aureljusza. Znany historyk francuski, Kamil Julljan (Histoire de la Gaule) broni cesarza Juljana przed zarzutem apostazji. Skoro nie był nigdy chrześcijaninem, nie mógł być apostatą.

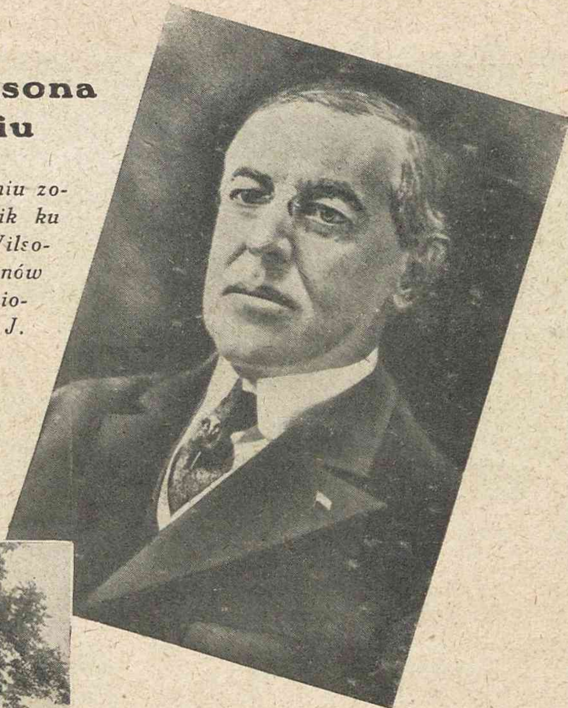
W istocie pragnął on wskrzesić starą wiarę Greków, wznowić sławę wojenną Rzymian, odnowić ustrój państwa. Prawdą jest, że podją walkę z chrześcijanami, „galilejczykami", jak ich nazywał. Że zaś objął tron po imperatorach, którzy już wyznawali wiarę Chrystusa, przeto propagowany przezeń nawrót do pogaństwa wśród ludności chrześcijańskiej budził gorycz i niechęć. Juljan zmusił księży chrześcijańskich do płacenia podatków. Zwrócił miastom majętności, któremi Konstantyn obdarzył kościoły i klasztory. Wzbronił nauki Chrystusa w szkołach. W pewnej mierze wprowadził już wtedy rozdział między państwem a Kościołem. Wszystko to w gruncie rzeczy było przytem wodą na młyn pogaństwu. Wśród chrześcjan wzburzenie wciąż rosło. Widzieli oni w Juljanie wroga tem niebezpieczniejszego, że był on mądry i że wiódł życie nienaganne — że usiłował swemu pogańskiemu hellenizmowi nadać te same właściwości moralne, które reprezentował chrześcijanizm. Juljan, w stosunku do proletarjackich podówczas chrześcijanizmu, reprezentował arystokratyzm starogrecki. Nie mógł liczyć na zwycięstwo. Zarówno Bider, jak ksiądz Fleury poddają bardzo ciekawej analizie to filozoficzno-religijne podłoże zatargu, w którym ścierał się humanizm ze scholastycyzmem. Juljan, wielbiciel bogów greckich, uważał „Iliadę" i „Eneidę" za książki święte. Nie chciał dopuścić, aby księża chrześcijańscy wykładali o tych księgach w szkołach. Ale nowi historycy przeczą, aby helenofilski władca dopuszczał się ostrzejszych prześladowań i krew chrześcjan nie płynęła za jego panowania. Nie chciał męczeństwa. Ksiądz Fleury odzywa się też o nim z wi-

Pomnik Woodrow Wilsona w Poznaniu

Dnia 4 b. m. w Poznaniu zostanie odsłonięty pomnik ku czci Woodrowa Wilsona, b. prezydenta Stanów Zjednoczonych, wzniesiony kosztem Ig. J. Paderewskiego.



Ig. J. Paderewski



Woodrow Wilson



Pomnik W. Wilsona, dzieło amerykańskiego rzeźbiarza Gutzona Borgluma.

Fot. S. Londyński

docznem umiarkowaniem. Rozwiewa nawet legendę o tym słynnym przedśmiertnym wykrzykniku, który tylu poetów zachwycał:

— Galilejczyku! Zwyciężyłeś!

Słów tych w chwili zgonu Juljan nie mógł powiedzieć dla tej prostej przyczyny, że zginął w bitwie z Persami, którzy z Chrystusem nic wspólnego nie mieli. Zginął, mając lat 32. Ówcześni ulubieńcy bogów wcześnie umierali, lecz i wcześnie zaczynali żyć. Najwspanialszy przykład pod tym względem zostawił Aleksander Wielki, który świat zdobył, a umarł, nie doszedłszy lat trzydziestu.

Ksiądz Fleury przyznaje, że złe świadectwa, wydane przez Św. Grzegorza cesarzowi Juljanowi, należy traktować ostrożnie: Św. Grzegorz znał tylko język grecki, łacina była mu obcą, nie mógł zatem całkowicie ocenić i rozważyć tak skomplikowanej umysłowości, jaką na ową epokę przedstawiał cesarz Juljan.

Listy tego monarchy — listy, pisane przed 16 wiekami, budzą dziś zdumienie: tyle w nich mądrości, dowcipu i wdzięku! Zaiste, któryż to z dziś miłościwie panujących monarchów potrafiłby zdobyć się na taką kulturę umysłową!

Gordon.

Amerykańska propozycja odroczenia spłaty długów wojennych na rok



H. HOOVER, PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ, WYSTĄPIŁ Z PROPOZYCJĄ ODROCZENIA NIEMCOM NA ROK SPŁATY DŁUGÓW WOJENNYCH: PROPOZYCJA TA SPOTKAŁA SIĘ ZE SPRZECIWEM FRANCJI



DR. BRÜNING, KANCLERZ RZESZY NIEMIECKIEJ, WYGŁOSIŁ PRZEZ RADIO ZNAMIENNE PRZEMÓWIENIE, PRZEZNACZONE DO ZJEDNANIA OPINJI AMERYKAŃSKIEJ I ANGIELSKIEJ DLA PLANÓW HOOVERA



Stosunki... Stosunki... Stosunki...

(materjał na: słuchowisko radjowe, essay, kuplety, scenarjusz dźwiękowca, feljeton, komedję kameralną lub kabaretowy monolog)).*

OSOBY:

PRZYSZŁA WEDETTA.
HRABIA MECENAS.
FIGURA Z PRASY.
SFERA GOSPODARCZA.
INSTANCJA FISKALNA.
CZYNNIK DECYDUJĄCY.
TELEFON. ETABLISSEMENT. RAKI. KURCZĘTA. SZPARAGI. MOKKA. HAWANA. ASTRALE i t. p.

Rzecz — w pięciu stosunkach z happy end'em. Akcja dzieje się współcześnie gdziekolwiekbądź byle nie (z powodu — cenzura) w Polsce.

STOSUNEK I-szy.

PRZYSZŁA WEDETTA. HRABIA MECENAS. TELEFON.

— Czy to pan hrabia?

— Tak jest, to — ja.

— A tutaj — ja. Chiba już pan wi?

— Odrazu panią poznałem.

— A niby po czem?

— Po nieskazitelnej dykcji. Lecz czemuż ah! czemuż mam przypisać to szczęście? Czyżby pani raczyła wreszcie ulitować się nademną i...

— Tylko bez bujania!

— Zabrania mi pani bujać po obłokach?

— Bez bujania damskiej płci! Znamy się na tem. Dzwonie, bo mam do hrabiego interes. Nareszcie wczoraj debiutowałam w „Oślem uchu". Miałam pierszoklaśny numer. Takie paraguańskie tango:

„Mój kochanek me katuje,
Hiszpański to bandyta wszak..."

Cała sala śpiwała!

— Ah, jaka szkoda...

— Że cała sala śpiwała? Miły z hrabiego kaktus!

— Szkoda, mówię, że nie widziałem o debiucie pani, iżbym mógł własnoręcznie...

— Nie szkodzi. Przyjdzie pan własnoręcznie jutro.

— Czemuż nie dziś?

— Bo dziś musi mi pan obkombinować w prasie rewelacyjnom recenzje. Taką ef-ef! Żeby mnie po niej dyrekcja na dwóch łapach o kontrakt prosiła.

— Przyznać muszę, że sprawa niełatwa...

— Przy pańskich stosonkach?

— Ha! Spróbuję. Lecz, jeżeli załatwię?..

— To panu gustownie podziękuję.

— Na kolacji.

— Niech stracę... na kolacji. Tylko żeby mnie hrabia znów o rękę nie prosił!

STOSUNEK II-gi.

HRABIA MECENAS. FIGURA Z PRASY. TELEFON.

— Hallooo!... Czy to redakcja czasopisma: „Moje Uszanowanie"?

— . . . .

— Bardzo mi miło. Poznaje pan, kto mówi?

— . . . .

— Dawnośmy się nie widzieli. Właśnie, ostatnio na wyścigach. Lecz nie chcę kochanemu redaktorowi zabierać drogiego czasu. Tedy w dwóch słowach: wczoraj debiutowała w „Oślem Uchu..."

— . . . .

— Ależ, wybitne zdolności!... Więcej jak pewne, że to przyszła wedetta!... Oczywiście, jeżeli prasa poprze.

— . . . .

— Wcale nie było tak źle. Wprost przeciwnie. Wiem, bo widziałem na własne oczy, więc proszę mi wierzyć... Zresztą, bardzo mnie pan tem zobowiąże.

— . . . .

— Służę rewanżem w każdej chwili. Proszę mną dysponować, drogi redaktorze!

— Dobrze. Tedy: w zakładach ZSPPTR jest obecnie redukcja. Chodzi o to, by przy tej okazji nie zredukowali siostrzeńca pierwszego męża mojej drugiej żony.

— Sprawa niełatwa.

— Przy pańskich stosunkach?

— Zrobione!

— Nawzajem!

STOSUNEK III-ci.

HRABIA MECENAS. SFERA GOSPODARCZA. TELEFON.

— Sługa prezesa dobrodzieja! Co słychać?

— A słychać! Aż w niebie słychać, jak człeka walą po kieszeni! Rozchorowałem się...

— Radziłbym Krynicę.

— Ależ hrabio! Ja nie wiem, czy mi na Biarritz wystarczy, a pan z Krynicą wyjeżdża. Czasy są takie, że gdym wczoraj zapytał w jakimś sklepie, czy mi mogą zmienić sto złotych, odpowiedzieli, że mogą — na dwa weksle po 50 złp. i to z miesięcznym terminem.

---

*) *Copyright by* Rujwid *Poland-Varsaw*, 1931, tel. 864-29.

— Rzeczywiście... nie można powiedzieć...

— A spróbuj, hrabio, powiedzieć, to też nic nie pomoże.

— A propos „nie pomoże"... podobno w zakładach pana prezesa jest redukcja?...

— A gdzie niema redukcji?

— W kontyngensie komorników. Istnieją nawet poważne szanse rozwoju tej gałęzi przemysłu państwowego. Wiem to z poważnych źródeł.

— Przy pańskich stosunkach wie się wszystko. Ale — ale... czy nie mógłbyś, drogi hrabio, dowiedzieć się w pewnej mojej sprawie... Dostałem świeży naddatek do dodatku od pewnego podatku... Czyby się więc nie dało, rozumie pan, jakoś to wyinterpretować.

— Baaardzo trudna sprawa... ale dla drogiego prezesa zrobię oczywiście wszystko, co będę mógł.

— Serdecznie dziękuję!

— „Nie dziękuj, wyznam ci szczerze..." jak mówi poeta, tylko mi prezesie nie zredukuj pewnego osobnika, który...

— Niestety, drogi hrabio, ale na redukcję prawie niema rady...

— Wyjąwszy, naturalnie, radę nadzorczą, w której prezydujesz, kochany prezesie!

— Któż potrafi odmówić panu?...

— Zaraz sprawdzę tę maksymę na pańskim naddatku od dodatku do podatku... So long!

STOSUNEK IV-ty.

HRABIA MECENAS. INSTANCJA FISKALNA.

— Wielmożny panie hrabio. Jestem kompletnie bezsilny. Sprawa tego naddatku do dodatku leży całkowicie w kompetencji wyższej instancji, niż ta, którą ja stanowię.

— Czyli, mówiąc innemi słowy, gdyby szanowny radca był instancją wyższą?...

— Wtedy siłą rzeczy odnośna kompetencja podlegałaby mojej potencji...

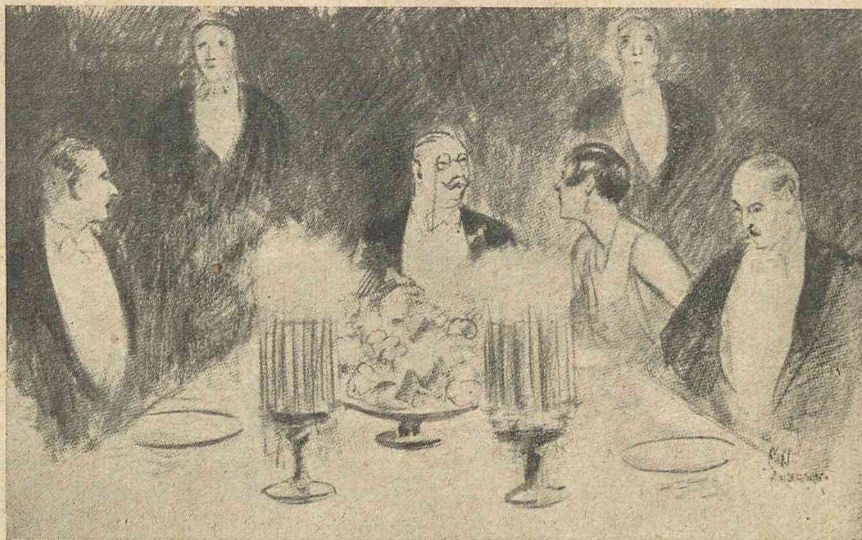
— Nie jestto takie proste.

— Panie hrabio! Przy pańskich stosunkach?!

STOSUNEK V-ty.

HRABIA MECENAS. CZYNNIK DECYDUJĄCY.

— I cóż pan powie, szanowny hrabio, na ten fatalny czas?



— Nie tylko u nas, ekscellencjo, jest fatalnie, lecz i w innych państwach Europy.

— Ależ skąd?! W całej Europie cudna pogoda, tylko u nas leje i leje! Od szeregu dni ani na obiad wyjechać za miasto, ani nawet pograć w tenisa.

— Pardon, myślałem, że ekscellencja mówi o zachmurzonej sytuacji wogóle?...

— „Zachmurzona sytuacja" — u nas?! Pan chyba żartuje? Te kilka przelotnych chmurek! Bo wogóle to „słońce i pogoda", jak to pięknie śpiewa nasz lud. Parlament na wakacjach. Rząd na urlopie. Idylla.

— A kompressje pensyjne?

— Ach, pan o tem?... Cóż, na wszystko jest sposób. Obcięto ci pensję? Zaawansuj bratku, a znów będziesz miał tyle, co przedtem. To takie proste.

— I genjalne! Mam właśnie takiego jednego, który mógłby się akurat nadać na klasyczny przykład tej kapitalnej koncepcji! Gdyby tylko ekscellencja zechciała...

— Czemu nie... Czemu nie... tylko... co to ja chciałem powiedzieć?... aha!... pan ma takie stosunki w sferach artystycznych... Nie wie pan przypadkiem, co to za jedna osóbka ta artystka, która onegdaj debiutowała w „Oślem Uchu?" Wcale, wie pan, tego... zdolna!

— A będzie zachwycona z poznania ekscellencji.

— Nie może być? A to ładnie z jej strony... Bardzo ładnie! Pan jest strasznie miły, panie hrabio!



HAPPY END

PODMIEJSKIE ETABLISSEMENT. WEDETTA. RAKI. CZYNNIK DECYDUJĄCY. KURCZĘTA. SZPARAGI. HRABIA MECENAS. MOKKA. HAWANA. ASTRALE FIGUR Z PRASY, SFER GOSPODARCZYCH I INSTANCJI FISKALNYCH.

CHÓR ASTRALÓW *(unosząc się z girlandami róż nad Wedettą zagruchaną z Czynnikiem decydującym).*

Tyś maj! tyś raj! aj! aj!
Brak ód na cud twych ud!!...

HRABIA MECENAS *(w kłębach Hawany w fotelu na uboczu tonie w refleksjach).*

I jakże tu nie być mistykiem, skoro ekscellencyjny i stosunkowo mój estetyczny apetyt na Wedettę zaspokoił życiowe głody szeregu postronnych osób... Śmieszni są ci materjaliści...

CHÓR ASTRALÓW *(nad Wedettą).*
Przez twój rozkoszy zdrój
Przez twych stosunków charme
Karm siebie i nas karm!...

Koniec — Kurtyna.

Kazimierz Wroczyński



BARAKI W GDAŃSKU NA PODWÓRZU GIMNAZJUM POLSKIEGO. OCHRONKA W OLIWIE
Fot. R. Wyrobek, Gdańsk

macierz szkolna w gdańsku

Wypadki w ostatnich tygodniach, poprzedzających majową sesję Ligi Narodów, zwróciły uwagę społeczeństwa polskiego na stosunek Gdańska do Polaków. Ogólne oburzenie wybuchło z powodu brutalnych napadów hitlerowców na Polaków i obywateli polskich. Sprawą tą musiała zająć się nawet Liga Narodów, polecając ustami min. Hendersona Senatowi Wolnego Miasta ukrócenie tego rozwydrzenia.

Tymczasem bicie Polaków w Gdańsku jest tylko jedną z krzywd, którym mniejszość podlega tu na każdym kroku.

Znacznie większą — i bodaj największą — jest stałe dążenie rządzących w Gdańsku sfer do zupełnego zniemczenia wszystkiego, co polskiem jeszcze pozostało.

W mieście, gdzie co *czwarte* nazwisko jest czysto polskie, poza obywatelami państwa polskiego, przebywającymi tu od czasu utworzenia Wolnego Miasta, pozostało Polaków, rdzennych Gdańszczan, mówiących po polsku i do polskości przyznających się, zaledwie niecałe 4%.

A ponieważ jest to głównie proletarjat i drobne mieszczaństwo, a więc świat, który jest w zupełności zależny od pracodawców - Niemców i klijentów - Niemców, więc mimo najszczerszych chęci zachowania swej narodowości — pod naciskiem mocniejszego elementu niemieckiego wynaradawia się coraz bardziej. Wynaradawia go fabrykant i urzędnik, kościół i szkoła, życie towarzyskie i społeczne, nacjonalista niemiecki i komunista, centrowiec i socjalista!

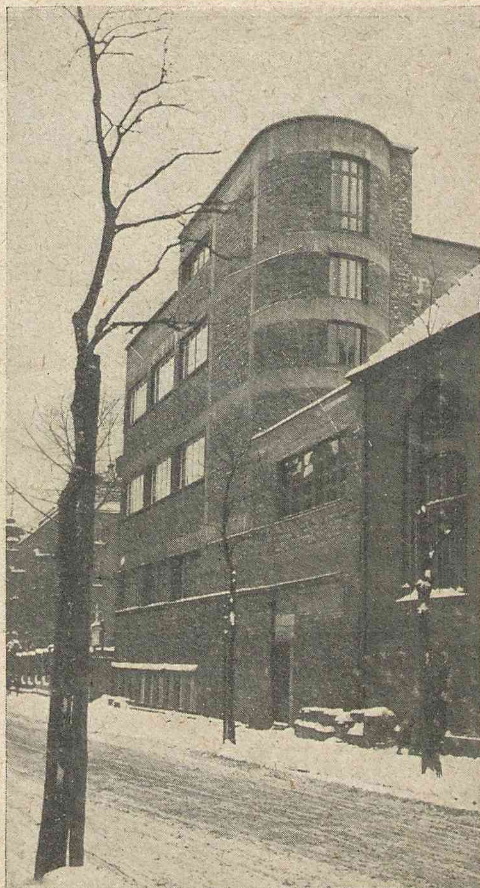
I oto na ratunek tej resztki polskości w Gdańsku śpieszy jedna jedyna instytucja — *Macierz Szkolna w Gdańsku.*

Założona w listopadzie 1921 r., a więc przed dziesięcioma laty, a pozostając kolejno pod prezesurą dr. Fr. Kubacza, zasłużonego patrjoty polskiego w Gdańsku i posła do pierwszego Volkstagu Gdańskiego, następnie inż. Tad. Czarnowskiego, przedostatniego prezesa Dyr. Kol. Państw. w Gdańsku, i obecnie inż. Bog. Dobrzyckiego, dyrektora Dyrekcji Kol. Państw. — Macierz Szkolna rozwija coraz owocniej swoją działalność. — A więc prowadzi 11 ochronek z 500 przeszło dziećmi, pozostających pod niezwykle czujną opieką sióstr Dominikanek, dalej 4 szkoły powszechne dla 200 przeszło dzieci obyw. polskich, opiekuje się kilkuset dziećmi uczęszczającymi do gdańskich senackich szkół powszechnych z polskim językiem wykładowym; prowadzi Gimnazjum Polskie w Gdańsku, do którego uczęszcza około 600 młodzieży do 9 klas w 20 oddziałach, rozbudowuje Polską Szkołę Handlową z 300 uczniami; stara się, jak może i gdzie może, siać polskość w tem zupełnie prawie niemieckiem środowisku, jakiem jest Gdańsk, dzięki opieszałości dawnej Rzplitej królewskiej i niesłychanie mocnemu naciskowi germanizacyjnemu w ciągu 150 lat niewoli.

Praca Macierzy w Gdańsku jest trudna i wymagająca niezwykłego natężenia. Nie wolno jej ani na chwilę ustać w jej zabiegach, ani na chwilę osłabić swego tętna. Przebiegły prusak pod postacią



SZKOŁA HANDLOWA W GDAŃSKU. (GMACH OFIAROWANY PRZEZ E. HEIMANA)
Fot. R. Wyrobek, Gdańsk





NOWE SKRZYDŁO SZKOŁY HANDLOWEJ W GDAŃKU. GIMNAZJUM POLSKIE W GDAŃSKU

Senatu Gdańskiego czyha tylko, aby wydrzeć jej teren i dusze. A potrzeby rosną z dniem każdym.

Oto w Gimnazjum już wszystkie ubikacje zajęte. Nawet *na poddaszu*—dosłownie—mieścić się musi klasa. 6 klas jest tak małych i ma tak wadliwe światło, że dalsze trzymanie w nich młodzieży grozi niepowetowanemi szkodami ich zdrowiu. Brak sali gimnastycznej—której namiastka namiastki mieści się w szpetnej ruderze, baraku, stojącym na podwórku gimnazjalnem.

W tym samym baraku, który grozi runięciem, musi mieścić się klasztorek SS. Dominikanek, z takiem oddaniem pracujących nad najmłodszą dziatwą polską.

W Szkole Handlowej, której p. E. Heiman z Łodzi ofiarował budynek, trzeba dokończyć nowe skrzydło, którego część zaledwie zdołano w ub. roku wybudować. Młodzież nie ma gdzie się mieścić i szkoła musi pracować na dwie zmiany dziennie.

Trzeba myśleć o wystawieniu szeregu ochronek po wsiach podmiejskich, aby dzieci polskich nie zagarnęły chciwe łapy niemieckie...

A w Polsce, np. w Grudziądzu, Niemcy budują pałacowe gmachy dla swoich szkół prywatnych — składki na to sypią się pełną garścią od Renu do Wisły!

Czyż Warszawa złoży na Macierz Szkolną w Gdańsku w tym roku mniej, niż w ubiegłym złożyły Poznań i Lwów?...

M. K.



PAWILON SOMALISÓW (ARCHIT. WULFLEEP)

NOC PIĘCIU KONTYNENTÓW
NA WYSTAWIE KOLONJALNEJ W PARYZU

Zbliżamy się do portu. Pozostaje tylko przejście długim i nudnym kanałem handlowej avenue Dumesnil... Przecieram oczy. Wystawa. Stoi cała w łunie, odświeżona, jaśniejąca dwoma szeregami słupków, oblanych mleczną falą elektryczności! Idziemy przez Bramę Honorową... Las smukłych prostokątnych filarów lśni poświatą łagodną, jakgdyby zbudowano je z macicy perłowej. Nalewo — djadem z olbrzymich brylantowych smug wieńczy wieżę nad gmachem babilońskim Sekcji Metropolitalnej. Naprawo dźwiga się kopuła siwa Cité d'Informations. Wędrujemy poprzez mrowisko barów i sklepików w stylu egzotycznym. Z ciemnej strzechy słomianej migoce coś mdławo. Czaszki ludzkie?... Horror!... Na szczęście, są z gipsu. Poczciwie sobie i spokojnie wyglądają, — co to znaczy przyzwyczajenie. Opuśćmy tę restaurację ludożerców australijskich. Głębokie patio nas pociąga: kaktusy i palmy nad gazonem i kwieciem... I tajemniczo w półmroku błyszczą się niebieskawe balony na trawniku.

Ciekawość popędza nas dalej. Pod sklepieniem z przydymionego szafiru o fantazyjnym zwale chmur drzewa przeistoczyły się czarodziejsko. Nie rozróżnia się prawie gatunków swojskich od podzwrotnikowych. Z gałęzi ciemnych zwisają niebywałe barwne owoce latarni. Wzdłuż ścieżek i alej jarzą się potworne kwiaty matowe lamp ostrołukowych. Gdzieśmy się zabłąkali? Czas się zorjentować.

Z gąszczu nad krwawą pożogą zamczyska Madagaskaru dźwiga się baszta Bukranów — języki sine płomieni buchają z nozdrzy czterech olbrzymich głów u szczytu... Afryka! Fontanna — kolos o potężnych kolorowych wężach wody, otwiera drogę do starych kolonij francuskich. Szlak rozświetlony wśród wysokich kadzielnic sześciennych z masywnego szkła — u góry snują się dymki ofiarne topazowe — po graniach wydrążonych śmigają niezmordowanie jaszczurki szkarłatne, żółte, fioletowe. Drzemie siwa wieżyca Somalisów. Słonie pawilonu Indyj francuskich... Parę kroków — i już Atlantyk z zieloną kopułą Martyniki.



PAWILON ALGERJI (ARCHIT. MONTALAND)

Ramiona blade napowietrznie wznosi krzyż nad kościołem Misyj protestanckich. Ale przykuwa wzrok latarnia morska przy zwinnej na lekkich kolumienkach werandzie... Murzyn chrapliwie nawołuje: Gouade-loupe! Venez voir Gouade-loupe! Maleńki okrągły basen-wysepka z paru krzaczkami — czerwony bujak z lampką — to wejście do zatoki. Nie trzeba żartować z tego morza dla dzieci. W naiwnym tym pomyśle jest jakaś świeżość, jakiś zniewalający wdzięk młodości. Przy ladach — tłum. Zwijają się zgrabne subjektki w chusteczkach barwnych z Madrasu na kręcącej się hebanowej czuprynce; dyszą figlarne noski o spłaszczonych chrapkach, lśnią śniade pękate policzki. Gramofon nuci piosenkę dziwnie pieściwą i lubieżną. Roześmiane niewiasty do taktu przyśpiewują. Jaka bogata gama naskórków — od mleka z odrobinką kawy aż do przypalonej mocno czekolady! Pod otwartą ze wszech stron strzechą z trzciny przygrywa orkiestra antylska. Melodje chropowate, biorące rozkoszną i gorącą powolnością, tętnią, jak prąd lawy, w żyłach. Uśmiech rozmarzony błąka się po ciemno ponsowych usteczkach, odsłaniając perłową piankę ząbków. Giętkie i bujne kobiety tańczą „biginę" — posuwając się nieznacznym kołyszącym ruchem bioder i ramion, mężczyźni — w tym samym rytmie omdlewającym przylgnęli szczelnie do tancerek i krążą, płyną w kółko, w kółko...

Gwiazda o pięciu gigantycznych mackach wystrzela wzwyż. W glorji promiennej błękitny staje cud Azji święty — hymn tysiącolicy i jedyny w swej harmonji nieskończonej siedmiu kopuł Angkor-Vatu. Tuż misterne cacko z czerwonego laku — Annam, pagoda z ametystu i onyksu — finezja wzorzysta Kambodży... Afryka znowu wraca z pomarańczową groźną wizją murów Dzenneh. Mleczny i złoty majak Algieru, stożek popielaty Afryki Ekwatorjalnej. Dyskretnie zanurzamy się w dziedzińce pałacu Marakeszu... Dźwięki muzyk obcych, jękliwych, zawodzących głęboką gardlaną nutą... jakiejś namiętnej skargi czy wołania. Bębny i piszczałki. Oto bronzowo siwe souki-targi Maroku i Tunizji. Kupcy w czerwonych fezach. Z obleśną kurtuazją i krzywym uśmieszkiem zapraszają nas na widowisko poskramiaczki żmij. Tancerka brzucha na estradzie szczelnie zawinięta od kostek do pasa i od piersi do szyi, z sztywną maską twarzy, jest nieruchoma, z wyjątkiem nagiego, bronzowego łona, które puszcza w nieustanny, szybki wirowy ruch przy wtórze fletu i tamburyna. Mocne perfumy, okrzyki — gawiedź... Wschód! Twardy prostokąt z kopułą na płask położoną, goreje żarliwą ascetyczną bielą — Palestyna. Różowe filigrany Syrji i Libanu.

Więc znowu Azja! Ogarnia nas kraina czarnej kości słoniowej. Hale o stożkowem, puszystem sklepieniu ze słomy...

wiązanki sagaj kolosalnych i portyk na filarach zakończonych grymasem niewyczerpanej fantazji potwornych masek — belgijskiego Kongo. Z skraju jeziorka wbija się w mrok nocy miecz piany bryllantowej wodotrysku, nad jasno koralowym złomem rycerskich gospód Rodosu pod Jeleniem srebrnym i Krzyżem—godłami świetnych ongiś obrońców Chrześcijaństwa. Majestatyczna wstaje o patynie piasków libijskich nawa Bazyliki Septima Sewera... Srebrzysto-szary o poćmieniach zielonkawej śniedzi zwid świątyni z Bali i Sumatry... W cieniu drzew na stoku pojawia się zaciszna, jak ze staroświeckiego sztychu wycięta, siedziba biała Waszyngtona z Mount Vernonu!... Ameryka! Z westchnieniem ulgi kierujemy wzrok znużony na tonie granatowe jeziora... Skrząca światełkami wyspa La Bambala... Chrapliwy jazz stłumiony dolatuje zdala. I z nurtu rośnie, jak baobab tytaniczny, o wygiętych stu szablistych odnogach kremowych, lila i czerwonych Château d'Eau...

Zbliżamy się do Bagdadu! Most spleciony w ostrołuki irysów wielkich, jak pletwy wielorybie... Most? Są ich tuziny. Rzutem zuchwałym z brzegu na drugi, z sykiem i szelestem przenikliwym lecą w powietrzu łuki tęczowe, mieniąc się rubinami, seledynem, różem i opalem... Zużyto tu całą możliwą paletę tonów... Na wyspie pełno kiosków wschodnich, pawilon Indyj z dwoma słoniami w galowym rynsztunku, wysadzanym perłami i drogocennemi kamieniami. Pod krzakami tlą się matowo grube szklane kule. Stalowa struga wody z fontan pławi się w konchach, jak rozżarzona platyna. Kiście ogromne złocistych winogron pną się koło drzew.. mrugają porozumiewawczo z gęstwi gałęzi roje niebieskie świętojańskich robaczków... Kielichy pomarańczowe i różowe rozkwitają tu i owdzie magnolij z kryształu...

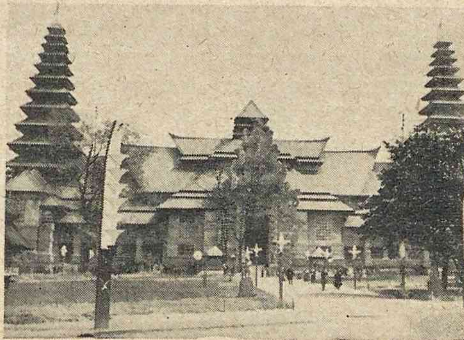
Bagdad!... Jazz. Najpiękniejszy dancing-restauracja stolicy. Z ciosanych trzonów cały, sala się wspiera na potężnych kolumnach palm, które koroną swą trzymają sufit. Nad tem biegnie niby loggia o kratce wyzłacanej na tle płowo-szmaragdowem starego jedwabiu. Girlandy z daktyli, strusich piór, kokosów... Wrzawa, skoczna nuta — huk bateryj szampana — atrakcje... przewykwintna kuchnia — imponująco słony rachuneczek... stroje wspaniałe, „śnieżne" ramiona pań i sztywne gorsy fraków... High life i elegancja! życie beztroskie... Któż słyszał o kryzysie, braku gotówki?... brednie! Chodźmy do Bagdadu! A jeśli komuś do kolacji nie służy apetyt, niech przykład bierze z swych sąsiadów. Tuż obok — akwarjum — gonią, jak warjaty, tam delfiny. Istne akrobaty. Wyskoczą napół z wody, rykiem chrypliwym wołając: ryby! ryby! gramolą się pletwami z aksamitnej czarnej gumy po pomoście. Z nocy dzień robią, niczem goście Bagdadu!... Poszalały. I nagle zaczynają gryźć się, topiąc jeden drugiego... Aż zabrzmi ostrzegawczo surowy głos dozorcy: Ossjan! daj spokój! I humor mimowolny tej reminiscencji poetyckiej przenosi nas w jednem mgnieniu w krainy romantyczne imaginacji rozpętanej naszych dziadków, równie niesamowite, jak ta noc ich potomków na wystawie kolonjalnej...

Słaniając się — czy po szampanie, czy po tej orgji świateł, fanfar, muzyk egzotycznych, wychodzimy. Żegna nas przy wyjściu rozkoszny zameczek o portalach i kolumnach wymyślnie pokręconych—rumieńcem lekkim delikatnej cery, jaką musiano wykraść Wenus z pian morskich powstającej... pawilon Portugalski.

Edward Woroniecki

Paryż.

POŻAR NA WYSTAWIE KOLONJALNEJ w PARYŻU



Pawilon holenderski, wyobrażający świątynię Wisznu z wyspy Bali, spłonął doszczętnie w nocy z dn. 27 na 28 czerw. r. b.

CO CZYTAĆ?

„LEGENDY I FAKTY" — „SZKICE POLSKO-RUMUŃSKIE" — „LITOGRAFJE WARSZAWSKIE"

Łódzkie Towarzystwo Bibljofilów wydało trzy cenne studja historyczno-literackie prof. Aleksandra Brücknera, zeszłorocznego laureata tego miasta, p. t. „Legendy i Fakty". Zasługi tego dużej miary badacza znalazły już niejednokrotnie publiczne uznanie. Krytycyzm jego i wielka wiedza uczyniły nadzwyczaj dużo do przedarcia się przez utarte sądy ubiegłych wieków do rzeczywistości. Aleksander Brückner, jako badacz spuścizny piśmienniczej, wykazał nieraz szczęśliwą rękę, odkrywając nieznane skarby literatury, kultury.

Obecnie wydane trzy studja „Z dawnych dziejów", „O Marji Malczewskiego" i „O Fredrze" przynoszą również wiele oryginalnego materjału, godnego głębszej refleksji. Prof. Al. Brückner twierdzi np., że autorem słynnej „kroniki" nie był Gall, jak to się powszechnie mniema, lecz Węgier. Kronika ta zresztą jest bałamutna, jeżeli chodzi o czasy przedpiastowskie i piastowskie. Autor tego studjum pisze: „Dziełko Węgra nie jest bynajmniej osadem całej dawnej tradycji polskiej; miał on nieszczególnych informatorów; chciał tylko o Krzywoustym pisać i to zadanie wypełnił, jak umiał, jak najlepiej".

W studjum o „Marji Malczewskiego" zbija prof. Al. Brückner rozpowszechnione mniemanie o niepoprawności wysłowienia tego poety, a pisząc o Fredrze, osadza różnych wpływologów, doszukujących się nieistniejących zależności w komedjowych pomysłach autora „Zemsty". Wystarczy raczej zwrócić uwagę na wydarzenia rzeczywiste z tych czasów, by pojąć sens Geldhaba, Jowialskiego, czy Męża i żony.

„Legendy i fakty", jako lektura instruktywna, przyczynia się do wyjaśnienia wielu zagadnień historyczno-literackich. Szczególnie ciekawa jest uwaga o śmierci Bolesława Śmiałego:

„Ckliwe nasze tragedje o królu-pokutniku równie uzasadnione, jak o Krakach i Wandzie! Króciutka wzmianka, że Bolesława na Węgrzech uśmiercono, usuwa raz na zawsze bajdy wszelkie o żalu i pokucie Śmiałego w Osjaku".

„Szkice polsko-rumuńskie" p. Marji Kasterskiej zajmują się: „Prababką króla Michała Korybuta", „Logofatem Mironem Kostynem" i „Rodziną Hasdeu". Książka ta jest dedykowana obecnemu premjerowi a wielkiemu uczonemu rumuńskiemu prof. Mikołajowi Jorga. Z dowodzeń szkiców tych wynika, że Polska miała duży wpływ na ukształtowanie intellektualne i polityczne Mołdawji. Wpływów tych nie mogła wyzyskać przez walki wewnętrzne. Nasi zwolennicy nieraz musieli politykować z Turcją, bo nie mogli liczyć na oparcie o Rzeczpospolitą. Raczej możne rody kresowe stawały indywidualnie do orężnych pomocy przeciw Turcji lub popierając lub zwalczając różnych pretendentów do włodarzenia Mołdawją, kolebką obecnej Wielkiej Rumunji.

Szkice p. Kasterskiej są interesującym nabytkiem w studjach nad stosunkami polsko-rumuńskiemi w wiekach ubiegłych. „Rodzina Hasdeu" (Hyżdeu) w tym względzie zasługuje na specjalną uwagę. Spolonizowała się zupełnie w osobie Tadeusza Hyżdeu, wróciła do Rumunji przez Bohdana. Należy on do czołowych historyków swego narodu.

Nikt z naszych historyków sztuki nie zajmował się dziejami litografji w Polsce. Autorzy obszernych słowników o rytownictwie, Kołaczkowski i Rastawiecki, nie uwzględnili tego działu. Dobrze się stało, że uczynił to teraz p. Ludomił Lewenstam, ratując od zapomnienia ten dział twórczości graficznej. Niezadługo litografja należeć będzie do zabytków muzealnych. Nowe wynalazki techniczne dystansują ten rodzaj grafiki. Warto jest zapamiętać, iż w r. 1818 Jan Siestrzyński założył pierwszą litografję w Warszawie. W r. 1869 mieliśmy już blizko 40 zakładów tego rodzaju. Dla litografji pracował znakomity rysownik tych czasów, Piwarski, jak i S. Oleszczyński, Gerson, Pilati, Tegazzo, Lesser, Kostrzewski i in. P. L. Lewenstam szczególnie wyróżnia prace litograficzne, wykonane w r. 1852, będące drobiazgowym atlasem m. Warszawy. Zakłady M. Fajansa wypuściły dużo wartościowych prac litograficznych. Sądząc z załączonych reprodukcji, należałoby otoczyć opieką te zabytki naszej sztuki graficznej.

Praca p. Ludomiła Lewenstama pt. „Litografje warszawskie 1818—1870" zasługuje na wyróżnienie.

E. C.



W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie dwudniowy zjazd dyrektorów teatrów polskich. Obrady Zjazdu odbywały się w gmachu teatru Polskiego. Siedzą od lewej dyrektorzy: Szczurkiewicz (Poznań), Miedniak (Katowice), Sobański, wiceprezes Kiedacz (Poznań), Bujański (Kraków), Chrzanowski, Czapelski. Szyfman, Lorentowicz, Wiast, Boczkowski, Wojciechowski, Rutkowski, Jaracz, stołą od lewej. Majde, nacz. Herbst, Łaniewski. Rostkowski, Strzeleck, Stermich, Stoma, Benda

Zjazd Dyrektorów Teatrów

Po kilkoletnim letargu, powróciło do życia zrzeszenie dyrektorów teatralnych. Związek ich ocknął się, wspólne niebezpieczeństwo i troski skłoniły idących luzem kierowników scen do wspólnego działania. Zjechali się tedy w Warszawie, dali wymowny wyraz żalom i skargom na ciężkie losów koleje i jęli radzić nad poprawą doli. Debatowali tedy, jak poskromić nadmierne aktorów żądania, jak przeciwstawić się wygórowanym wymaganiom pracowników technicznych. Szukali środków zaradczych na niemoce, trawiące organizmy teatralne, zdaje się jednak, że nie mówili wcale o tych przyczynach zła, które tkwią w samych dyrekcjach. Nie mówili o upadku artystycznym teatrów prowincjonalnych, o braku sił aktorskich, o niedbalstwie reżyserji, i przedewszystkiem — o dorywczości repertuaru. Nie wiemy, czy dyskutowano o krytyce prowincjonalnej, która przeważnie stara się szkodzić interesom teatrów; no, i o tem także, czy teatry w Polsce powinny odnowić się do twórczości rodzimej z tą niechęcią, jaka uwydatnia się w ostatnich czasach na prowincji. Nie można wszystkiego złego zwalać na przesilenie gospodarcze, na Związek Artystów Scen Polskich, na chciwość maszynistów. Trzeba rozeznać się we własnych słabych stronach, bo one bywają również źródłem upadku.

Wobec rozwoju i postępów sztuki kinematograficznej, lichy teatr o obcym i tandetnym repertuarze przestaje przyciągać publiczność. Przestaje do tego stopnia, że zdarzają się takie wypadki, jak w ubiegłym sezonie we Lwowie, że w jednym z tamtejszych teatrów miejskich pewnego wieczora nie sprzedano ani jednego biletu. Teatr, który takie zawody przeżywa, sam sobie wystawia świadectwo ubóstwa. Należy raczej zmniejszyć liczbę teatrów, zredukować ilość przedstawień, a podnieść ich poziom. Przesilenie teatralne, traktowane wyłącznie ze strony finansowej, podatkowej i zapomogowej, jest zagadnieniem finansowem, dotyczącem tylko interesów materjalnych pewnej grupy przedsiębiorców. Przesilenie teatralne w Polsce sięga głębiej. Sanację trzeba podjąć od wewnątrz.

sk.

Ze środy na piątek

Ukazał się na półkach księgarskich nowy tom opowiadań i feljetonów Kornela Makuszyńskiego pt. „Ze środy na piątek". Któż nie skorzysta z okazji, by znów spędzić kilka miłych i wesołych godzin w towarzystwie jego „Adonisa" czy „Prawdziwej Lwowianki".

Makuszyński jest przecież najulubieńszym pisarzem naszego pokolenia. Niefrasobliwy humor autora „Karczocha" ceniony jest tem więcej, że niema w tej chwili powodów do zbytniej wesołości. Makuszyński umie jednak znaleźć uśmiech wszędzie. Nawet te nasze „takie czasy" wywołały w nim odruch dobrotliwego sarkazmu w poczciwej opowiastce o rozpruciu pustej kasy ogniotrwałej. Przerachował się tylko rzezimieszek. Przypuszczał, iż dostanie honorarjum w gotówce, a znalazł kopertę z wekslem. „Takie to są już czasy", że nawet bandyci „pracują" nie za gotówkę.

W tomie „Ze Środy na Piątek" znajdą czytelnicy dziewięć wesołych, rączych, karkołomnych opowiastek Kornela Makuszyńskiego. Dwie posiadają charakter autobiograficzny. „Mój pierwszy zając" będzie głęboko komentowany w przyszłości przez wpływologów literackich, a „Mój śmiertelny wróg" zajmie też i teatralnych egzegetów.

Makuszyński napisał o Ludwiku Solskim sporą wiązankę chwalczych feljetonów. Jego uznanie dla znakomitego aktora posiada jednak swoiste cechy. Niby żartuje sobie, niby igra z dobrą sławą, „tego człowieka-demona, człowieka-tajfuna, człowieka-maszyny, siwego młodzieniaszka". A jednak w podziwie wyznaje: „gdyby Wezuwjusz wygasł, należałoby Solskiego wprawić w krater, a piekielna awantura zaczęłaby się nanowo".



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Dla kobiet Makuszyński ma podobną admirację.

Większość tych opowiadań znają czytelnicy naszego pisma z łamów „Świata". Budziły humor i zainteresowanie, ukazując się oddzielnie w zeszytach naszego wydawnictwa. W książce są równie atrakcyjne i napewno każdy chętnie je jeszcze raz odczyta. Humor Kornela Makuszyńskiego zniewala przecież i nastraja pogodnie.

Książkę Makuszyńskiego zilustrował zabawnemi karykaturami art. mal. W. Walentynowicz.

F.

ĆWICZENIA LEKKOATLETYCZNE DZIEWCZĄT

ZE ŚWIATA

Gimnastyka poranna

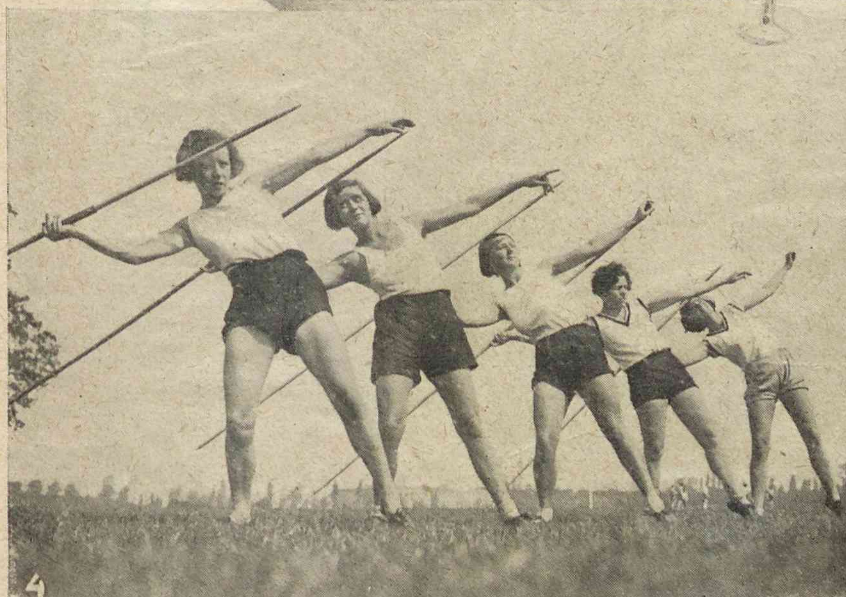


1) Skok przez przeszkodę









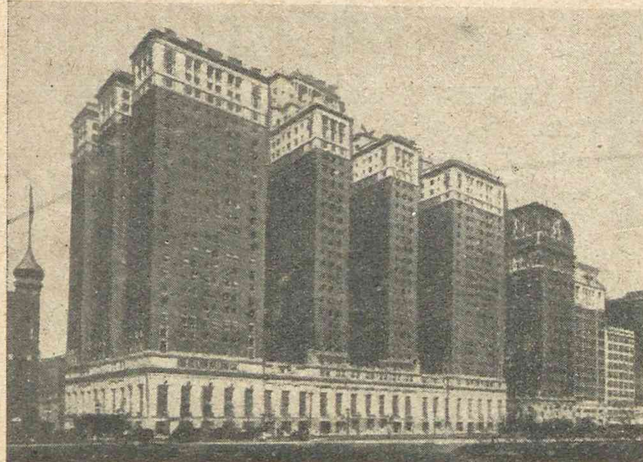
4) Rzut lancą

Fot. The New York Times

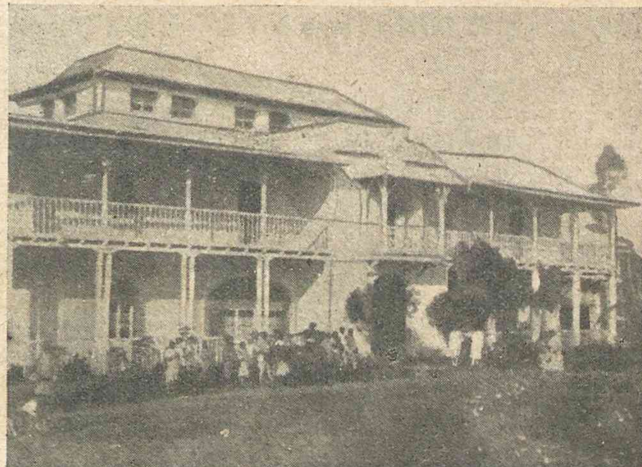
2) Gra w hockeja

3) Wodne narty

Tak oto na szerokim świecie ćwiczy się „płeć słaba“ w karkołomnych sportach, które dotychczas były wyłącznym udziałem śmielszej młodzieży męskiej. Radość życia bucha z tych cudów zręczności: gdzież tu już mówić o płci „słabej“?



HOTEL „STEVENS“ W CHICAGO



HOTEL „IMPERIAL“ W ADDIS-ABEBA W ABISYNJI

PRZYSTANIE PODRÓŻNIKÓW

NAJWIĘKSZE HOTELE ŚWIATA

Jedną z wielu zdobyczy, jakie dała ludzkości nowoczesna technika, jest łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, pospieszne i wygodne sposoby komunikacji. Gdy jeszcze przed stu laty mieszkaniec Polski wybierał się do Paryża czy do Rzymu, przygotowywał się do tej podróży przez całe tygodnie, wśród powszechnego zainteresowania rodziny i wszystkich bliższych i dalszych znajomych, a potem znowu całemi tygodniami wędrował od popasu do popasu, zmieniając konie pocztowe przy własnej karecie lub wynajmując dyliżanse, wypoczywając dłużej lub krócej po trudach w podróżnych zajazdach. Jakże inaczej wygląda podróż dzisiejsza, odbywana kolejami, pospiesznemi statkami, samochodami i aeroplanami? Można w pospiesznem tempie, wygodnie, bez zmęczenia zmieniać miejsce pobytu, krążyć swobodnie niemal dookoła świata. Jedyny warunek — to pieniądze, ale i wędrowiec z przed stu lat musiał je posiadać, zwłaszcza że podróż w owe czasy była nawet kosztowniejsza.

Ta łatwość komunikacji zmieniła pod pewnym względem ludzką naturę. Przed stu laty człowiek był stworzeniem osiadłem, dzisiaj stał się wędrownikiem, niejako ptakiem przelotnym, który dziś jest tu, a jutro tam, dla którego dzielące odległości przestały istnieć. Ale który również, czy tu czy tam, domaga się za swoje pieniądze maximum wygody, trybu życia, nie różniącego się prawie od normalnego.

W związku z tem dawna oberża z przed stu laty musiała, oczywiście, uledz zasadniczemu przeobrażeniu, zmieniła się w nowożytny hotel. Uwzględniono w nim wszystko, co może dać postęp techniczny i czego wymaga wykwint i hygiena życia. Więc wygodne łóżko, praktyczne meble, światło elektryczne, łazienka, woda zimna i gorąca o każdej porze, telefon w pokoju, doskonale wyszkolona służba, windy, biura informacyjne, safesy do przechowywania pieniędzy i kosztowności, a dalej w tymsamym gmachu restauracja, kawiarnia, bar, dancing, czytelnia — słowem wszystko, czego dusza zapragnie.

Na pierwszy plan wysuwa się coraz bardziej wielki międzynarodowy typ hotelu, drapacz nieba o tysiącach pokoi. To jest królestwo globtrotterów, ludzi interesu, nowobogackich i miljonerów, to jest młyn, w którym życie huczy i wre bez przerwy. Kołowroty drzwi wejściowych kręcą się nieustannie, wciąż wchodzą i wychodzą ludzie najzupełniej sobie obcy, dobrzy i źli, bogaci i pozłacani nędzarze, mijają się w hallu, dążą windami na rozmaite piętra, załatwiają interesy, czasem przeżywają dramaty, które dyrekcja hotelu stara się zlikwidować jak najciszej, bez rozgłosu.

Obok tego olbrzyma wciąż jeszcze utrzymuje się przy życiu mniejszy, zaciszny hotel, niejako reminiscencja dawnej oberży, o bardziej familijnym — możnaby powiedzieć — nastroju. Tu chętnie szukają gościny artyści, przedstawiciele starszej generacji, ziemianie, przyzwyczajeni do większej ciszy i pragnący wypocząć tu przez parę godzin po zgiełku wielkomiejskim. Rzadziej zjawia się tutaj cudzoziemiec, hotel ma wprawdzie pierwszorzędną renomę, ale raczej lokalną niż światową. Jeszcze przed niewielu laty można było w hotelach tego typu poznać lepiej niż gdzieindziej miejscową ludność, jej obyczaje i przyzwyczajenia, a także rozmaite specjalności lokalnej kuchni. Niestety, ten sympatyczny typ hotelu zanika zagranicą coraz bardziej w latach powojennych, poziom jego obniża się, zamienia się w drugorzędny hotelik.

Aby zaspokoić jak najlepiej wszystkie potrzeby i wymagania olbrzymich tłumów wędrowniczych, hotelarstwo zmieniło się — bez przesady — w ścisłą wie-



HOTEL „CORTES“ W SAN DIEGO W KALIFORNJI

dzę, operującą materjałem wprost naukowo opracowywanym. Powstały specjalne gałęzie budownictwa hotelowego, urządzeń hotelowych, administracji hotelowej i t. p., opierające się i na teoretycznych dociekaniach i na skarbnicy zebranego przez poprzedników doświadczenia praktycznego. Celowość we wszystkiem — to podstawowa zasada nowoczesnego hotelarstwa. Ona decyduje o rozmiarach gmachu, o rozmieszczaniu pokoi gościnnych, sal restauracyjnych i innych, służących do ogólnego użytku, o urządzeniach wewnętrznych, zastosowując w nich bez przerwy coraz nowe zdobycze techniki o systemach kierowania tą olbrzymią maszyną. Inaczej więc buduje się hotele w wielkich centrach stołecznych, inaczej w ośrodkach przemysłowych, inaczej nad brzegiem mórz, inaczej w miejscowościach klimatycznych i t. p. Gdzieniegdzie hotel urasta na ciasnej przestrzeni do podniebnych wysokości, gdzieindziej rozkłada się na obszernym terenie szeregiem niezbyt wysokich budynków, jeszcze gdzieindziej przystraja się tarasowatemi werandami, to kieruje swe oczy - okna w najbardziej malowniczą stronę krajobrazu, to nurza się i ukrywa w bujnym parku egzotycznej roślinności.

Czy taki, czy inny ma wygląd zewnętrzny, życie pulsuje w nim przez cały dzień niesłabnącem tętnem.

St. I.



HOTEL „TRAYMORE" W ATLANTIC CITY



TEREN GOLFOWY HOTELU „BILTMORE" W MIAMI

Międzynarodowa Wystawa Sztuki Modernistycznej w Brukseli



GUSTAW DE SMET — MYŚLIWY Z PSEM

Niedawno została otwarta w Brukseli, w Palais des Beaux-Arts, wielka międzynarodowa wystawa modernistów.

W wystawie tej bierze udział: Francja, Ecole de Paris (t. j. grupa artystów cudzoziemców z Paryża), Holandja, Belgja, Niemcy, Austrja i Czechosłowacja. Dzięki połączonym staraniom Stowarzyszenia „Praesens" i T-wa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych jest na tej wystawie również niewielki dział polski, zorganizowany zresztą z konieczności w nader krótkim terminie, a obejmujący utwory: T. Czyżewskiego, St. Grabowskiego, K. Mackiewicza, J. Malickiego, A. Pronaszki, A. Rafałowskiego, K. R. Witkowskiego i St. Zalewskiego. Z powodu otwarcia tej wystawy, pod nazwą „L'Art Vivant en Europe", odbył się bankiet pod egidą Stowarzyszenia „L'Art Vivant", na którego czele stoi Edm. Odry.

Wśród wystawionych w Brukseli dzieł, obejmujących epokę lat 1900—1930, są oczywiście różne utwory, które dobitnie charakteryzują wszystkie główne kierunki modernistycznego malarstwa. Reprodukowany obok „Myśliwy z psem", którego autorem jest głośny modernista belgijski *Gustav de Smet*, należy do kategorji eksponatów... spokojnych i zrozumiałych.

Bruksela.

Gaz

Przyczaił się. Jakby zdumiony niespodziewanem zajściem, syknął. Na jedną tysiączną mgnienia cofnął się wstecz. Na ułamek ułamka mgnienia. Potem sprężył się i wypadł na zewnątrz. Skupił się jednak natychmiast w sobie i — począł równomiernie, ostrożnie, lecz stale i wytrwale płynąć...

— Kto?

— Gaz...

Bezbarwny, lotki, sprężysty — pojął. Godzina jego nadeszła. Nieoczekiwanie.

Oni zapomnieli...

Władek Sikora i jego Ziutka Sikorzyna, żona. Albowiem wzięli ślub legalnie i lojalnie wobec całego świata, krewniaków i znajomych. Brali go przed wielkim ołtarzem. W kościele. Od starego księdza. Błogosławił im na najdłuższe życie. I na szczęście. Później i on, i oni, i inni goście byli na weselu. Pili. Czystą wyborową. Wiśniową słodką. Pieniste jasne piwo. A kto ich tam wie — może i ciemne także? Winko jabłeczne, krajowe, bo wiadomo, że nędza zwykła popierać przemysł rodzimy! Likiery...

Gaz płynął.

Zleniwiawszy nagle, ciężki, jakby ospały, rozlał się po podłodze. Po wszystkich kątach. Skoro nasycił sobą dół, zaczął wspinać się ku górze.

Im wyżej podnosił się, im więcej go przybywało, kłębił się. Z zadowolenia. Gdyby z niego mógł być człowiek, albo przynajmniej tak zwana istota żyjąca, cieszyłby się. Z okazji. Jednakże gaz cieszyć się nie umiał. Gaz posiada w sobie coś ze żmiji... Z oślizgłego gadu, który nie wnika w to, dlaczego szczęście mu sprzyja, lecz umie z ślepego trafu korzystać.

Korzystał!

Z tego, że oboje oni — zasnęli.

Nie mając oczu, widział. Ich oboje, gdy przytulili się do siebie, zmęczeni wrażeniami, poraz pierwszy stawszy się mężem i żoną.

Gaz skorzystał z przypadku, iż czajnik postawiony na maszynce, zakipiał. Kipiąca woda wydarła się z naczynia i zalała — niszczący go płomień. Śmierć jednego żywiołu, ognia, zgaszonego przez drugi, wodę, wyzwoliła trzeci — gaz...!

Pojmujecie, co to jest wyzwolony gaz, gdy ludzie zasnęli i są we śnie bezsilni wobec takiej żmiji?!

Gad był pewien swego.

Zniszczy ich!

Zadusi!

— Kogo?

— Ludzi.

Żywioł pełzł powolnie ku tryumfowi nad tą straszliwą bestją, którą jest — człowiek.

Ach, jakże go nienawidził!

Nienawidził ludzi za wszystko. Za to, że go wydarli głębiom ziemi, w której zaklęty w kamień spał przez miljony lat. Za to, że swą potworną siłą mózgu wyczarował go z dobytego węgla. Za to, że zrodziwszy go przez ogień, okiełznał, zaś okiełznawszy, niszczył tem samem, czem go zrodził — płomieniem... A na dobitek, niszcząc, kazał sobie służyć, ku swojemu pożytkowi!

Za szybami małego mieszkania na czwartem piętrze wiatr dmuchnął mocniej.



Natarł na szkła. Przez szczeliny we framugach wcisnął się do środka. Odrazu dojrzał zamiary gazu i zarechotał ledwie dosłyszalnie, złośliwie:

— Nic z twoich zamiarów! Ulotnisz się przez szpary, zanim zdołasz uczynić im cokolwiek złego.

Gaz syknął i przepłoszył wiatr.

Wyzwolony żywioł podnosił się wzwyż, całym wysiłkiem woli, jak wąż boa, prężący grzbiet do ostatniego śmiertelnego ościsku...

Naraz, tam, na schodach zadeptały kroki. Ktoś szedł. Powoli, lecz systematycznie. Gdyby gaz mógł myśleć i rozumieć, spostrzegłby, że ten człowiek — skradał się. Do mieszkania rywala. Mieszkał sam tuż naprzeciwko tego, który dzisiaj się ożenił.

Nadchodzący był jego przyjacielem, aż do tej chwili, kiedy zakochał się w tej samej dziewczynie, którą kochał Sikora...

Heniek przekroczył ostatni stopień piętra, na którem mieszkał i przystanął. Nadsłuchiwał. Może dojrzał smugę światła, sączącą się przez dziurkę od klucza. Może chciał podejrzeć, co tam się dzieje? Przytknął oko, a wraz z niem przybliżył nos. Wzdrygnął się. O mało nie kichnął...

— Gaz?!

Cofnął się, ale wnet zbliżył się znowu. Jeszcze raz wciągnął zapach w nozdrza. Pojął. W ciemności, choć nie było widać jego uśmiechu, chichotał. Głucho. Aż usta zatknął szeroką łapą, żeby nie zbudzić ich, tych, którzy zabrali mu szczęście...!

Odskoczył wstecz i ledwie nie krzyknął z uciechy:

— Na rano będą gotowi! Kaput...

Obiema rękami chwycił się za głowę i byłby zatańczył z uciechy, gdyby nie strach, że zbudzi kogoś, kto wyjdzie na schody.

Usiadł na poręczy i — czekał.

Błogosławił żywioł, który mu przyszedł z pomocą i — myślał.

Zastanawiał się nad tem, jak to się stać mogło, że nie dokręcili kurka od gazu. Przed oczyma jego myśli wstawały obrazy i rojenia. Skoro doszedł do pewnych przypuszczeń — drgnął.

— Usnęli w szczęściu!

Żachnął się i targnął w tył:

— Mieliby w niem zostać na wieki?

Zdecydował się. Spokojnie powstał i zbliżywszy się do drzwi, uderzył w nie dłonią. Wewnątrz milczano. Naparł mocniej. Również — ani dychu. Począł uderzać obiema pięściami:

— Hej! Wy! Tam! Słyszycie?

Nie odpowiedzieli. Jego przejął okropny strach, że już—pomarli szczęśliwi.

— Władek! Ziutka!

Krzyczał. Darł się na całe gardło. Bił kolanami w drzwi. Szalał.

— Zbudźcie się?

Zbudzeni sąsiedzi wysunęli głowy ze swych klitek:

— Co za hałasy?

— Gaz!

— Jaki gaz? Co pan gadasz? Czemu porządnym ludziom spać nie dajesz?

— Gaz zostawili otwarty. Ci młodzi, co się dzisiaj pożenili. Poumierają! Budzę ich, a oni nie odpowiadają...

— Ze wszystkich stron wysypali się — ludzie. Przyskoczyli do drzwi. Powąchali.

— Nie kłamie! Gaz! Ej, wy — młodzi!

— Drzwi trzeba wywalić siłą — komenderował Heniek.

— Racja!

Wyważono drzwi od małego mieszkania. Tłum się cofnął. Bo oto od wewnątrz runął tuman gryzącego gazu. Gad — żywioł pojął, że ludziom, których miał już za swoich, przyszli z pomocą — ludzie. Bronił się zatem. Bronił też swojej zdobyczy. Wciskał się do nosów i gardzieli. Łechtał. Drażnił, zmuszając do kaszlu i kichania. Nie pomogło. Wola ludzka silniejszą jest od najsilniejszego potwora...

— Poczekać! Niech się przewietrzy! Nie krzesać zapałek!

Następnie gromada wtargnęła do środka.

Zakręcono kurek od maszynki.

Przecięto nowy dopływ sił żywiołu...

Okna roztwarte szeroko wpuszczały fale sprzymierzeńca człowieka — tlenu.

Pokój wietrzał z zabójczego zapachu.

Rzucono się na ratunek zaczadzonych.

Pierwszy doskoczył do nich Heniek.

Wstrząsał i targał Władka i Ziutkę. Chuchał im w twarz, jakby to mogło pomódz. Docucił się najpierw jej, później jego. A gdy już siedzieli, przyprowadzeni do przytomności, gromadka kumoszek wskazała na rywala:

— Wiedzcie, że to on uratował wam życie. On pierwszy wywąchał, że z waszego mieszkania wydobywa się gaz. Gdyby nie on — na rano byłyby z was dwa trupy!

Ziutka, zrozumiawszy pierwsza, czemprędzej nakryła się kołdrą, dopiero teraz spostrzegając, że jest niemal naga.

Władek przyjrzał się wrogowi zmętniałemi źrenicami:

— On?!

— On...! On...! On...! Nikt inny...

Sikora zapłakał:

— Heniuś... Ja na ciebie kamieniem! Ty na mnie...? Heniek!!!

Zagadnięty milczał.

Słaby jeszcze Władek miał jednak tyle sił, żeby uchwycić go za dłoń i przycisnąć ją do bladych ust:

— Czem ja ci się odwdzięczę?

Heniek zaśmiał się nagle i sarknął:

— Niema o czem gadać.

Gaz, który burzył się dotąd w zamkniętej rurze, uspokoił się niespodziewanie. Gdyby miał mowę, wyrzekłby niechybnie:

— Żywioł niszczy żywioł! Człowiek człowieka! Ten, który ich uratował, jest jeszcze większa żmija odemnie! Chi... Chi... Pożyjcie!...

Juljan Podoski

Warszawa, grudzień 1930 r.

Zabierz radjo na letnisko — Będziesz miał stolicę blisko.

Co ci się śniło?

Cztery wykładnie sennych widziadeł

I.

Z punktu widzenia filozoficznego — przez Artemidorosa około roku dwóchsetnego.

Z punktu widzenia okultystycznego — według rozmaitych senników.

Z punktu widzenia fizjologicznego — na zasadzie zdobyczy naukowych po roku tysiąc dziewięćsetnym.

Z punktu widzenia psychologicznego — podług badań współczesnych.

KWIATY.

Oświetlenie filozoficzne: kwiaty przynoszą szczęście, o ile śnisz o nich w porze, gdy kwitną; w przeciwnym razie nie wróżą nic dobrego.

Oświetlenie okultystyczne: widzieć kwiaty w śnie — szczęście; kwiaty darować — miłość; kwiaty otrzymywać — nieszczęście.

Oświetlenie fizjologiczne: silny zapach kwiatów lub perfum powoduje sny o kwiatach.

Oświetlenie psychologiczne: sny o kwiatach bywają symbolami miłości i erotyki.

JEDZENIE.

Oświetlenie filozoficzne: głodny śni o jedzeniu. Takie sny nie mają nic wspólnego z przyszłością.

Oświetlenie okultystyczne: jedzenie jest przepowiednią sprzeczek i nieporozumień.

Oświetlenie fizjologiczne: tego rodzaju sny wynikają wtedy, gdy nie umyłeś zębów przed udaniem się na spoczynek.

Oświetlenie psychologiczne: rezultat jakiegokolwiek bądź głodu... niezaspokojonego.

UPADEK.

Oświetlenie filozoficzne: upadek jest złym snem, gdyż podniecenie, jakie wywołuje, odbija się również na życiu.

Oświetlenie okultystyczne: plotki, obraza, utrata honoru lub złe skłonności.

Oświetlenie fizjologiczne: śnienie o upadku powoduje wadliwa pozycja śpiącego lub kurcz w nogach.

Oświetlenie psychologiczne: przeciwstawienie się popędom zmysłowym.

OGIEŃ.

Oświetlenie filozoficzne: bogaczom spala majątek, biednym wróży bogactwo; niezamężnym przepowiada małżeństwo, bowiem nic nie rozgrzewa tak, jak... żona.

Oświetlenie okultystyczne: płonący ogień jest wróżbą pogodnej przyszłości.

Oświetlenie fizjologiczne: o ogniu śni się wtedy, gdy z sąsiedniego pokoju pada silny promień światła, lub jest zbyt gorąco.

Oświetlenie psychologiczne: płomień rozpala zmysły.

RYBY.

Oświetlenie filozoficzne: wystrzegaj się towarzystwa, w którem przebywasz, gdyż znajduje się w niem kilku fałszywych przyjaciół.

Oświetlenie okultystyczne: wielkie ryby są przepowiednią dalekiej podróży, małe ryby — strat materjalnych. Łowienie ryb wróży wygraną w karty.

Oświetlenie fizjologiczne: sny o rybach są wynikiem nadużywania alkoholu.

Oświetlenie psychologiczne: ryba jest symbolem męskości.

LATANIE.

Oświetlenie filozoficzne: szczęście.

Oświetlenie okultystyczne: dobre wiadomości, poprawa losu.

Oświetlenie fizjologiczne: sen o lataniu powstaje wskutek miarowego oddechu; jest oznaką zdrowia.

Oświetlenie psychologiczne: sny o lataniu są nieuświadomionemi marzeniami miłosnemi.

ZŁOTO.

Oświetlenie filozoficzne: złoto w bryłach jest zapowiedzią szczęścia; złote ogniwa — niepokój.

Oświetlenie okultystyczne: sny o złocie mają rozmaite znaczenie: przepowiednia radości, albo przeciwnie: zawodu, strat.

Oświetlenie fizjologiczne: złoto w śnie ukazuje się tym, którzy śpią z niedomkniętemi oczami.

Oświetlenie psychologiczne: sny o złocie są wynikiem zaburzeń duchowych.

DOM.

Oświetlenie filozoficzne: mury, któremi jesteś otoczony, oznaczają bezpieczeństwo; gdy jesteś poza obrębem murów — znaczy to lęk.

Oświetlenie okultystyczne: domy oznaczają radość, bogactwo, spotkanie dawnych przyjaciół.

Oświetlenie fizjologiczne: kasłanie czy chrapanie przez sen wywołuje często sny o jeździe koleją, wozem, samochodem, a następnie o domu, przed który zajechałeś.

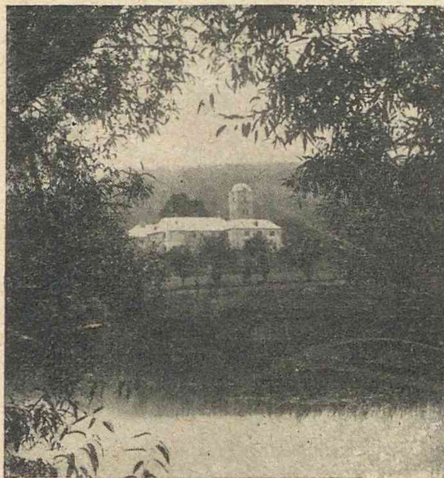
Oświetlenie psychologiczne: dom odzwierciadla ludzkie ciało.

H. Jel.

W górach Świętokrzyskich

W ogólnym bilansie ruchu turystycznego w Polsce Góry Świętokrzyskie zajmują coraz wybitniejsze miejsce. Odkrył je niejako i spopularyzował Stefan Żeromski, pochodzący z tamtych stron i powracający stale myślą do miejsc rodzinnych. Niema prawie ani jednego utworu wielkiego pisarza, w którymby czy to treść, czy strona opisowa nie zostały zaczerpnięte z okolic Gór Świętokrzyskich. Od „Rozdziobią nas kruki, wrony" po przez „Syzyfowe Prace", „Ludzi Bezdomnych", „Popioły", „Wierną Rzekę", „Uciekła mi przepióreczka" i szereg nowel, aż po „Puszczę Jodłową", wydaną już po śmierci Stefana Żeromskiego, wszędzie, ze wszystkich kart, ujawnia się ogromne przywiązanie znakomitego pisarza do gór rodzinnych, które poznał najdokładniej w latach dziecinnych i młodzieńczych i o których myślał w ostatnich chwilach życia. „Puszcza Jodłowa" jest pewnego rodzaju testamentem Żeromskiego, który rząd już częściowo zrealizował.


SCHRONISKO TURYSTYCZNE IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO


WIDOK NA KLASZTOR ŚW. KATARZYNY I GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE

Do rozwoju ruchu turystycznego, w bardzo dużym stopniu oddając mu poważne usługi, przyczynia się schronisko turystyczne im. Stefana Żeromskiego, wybudowane przed paru laty i prowadzone pod protektoratem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Schronisko znajduje się w centrum ruchu turystycznego, we wsi Święta Katarzyna, w pobliżu najwyższego punktu Gór Świętorzyskich, oraz rezerwatu jodłowego, noszącego nazwę: Puszcza Jodłowa im. Stefana Żeromskiego.

Szlakiem dziesiątej muzy

(Nowe filmy polskie — Dawid Belasco — Projekty zagraniczne — „Trader Horn")

Nowe filmy polskie oczekiwane są z wielką niecierpliwością. Będzie ich w tym sezonie niewiele: dwa nowe, które przygotowują wytwórnie Leofilm (film z życia gazeciarzy) i Blokfilm („Wykradzenie 10 więźniów z Pawiaka") i kilka zrealizowanych na końcu minionego sezonu, jak „Krwawy wschód" i „Ludzie mroku". Ich realizatorowie wstrzymali się z wyświetlaniem do jesieni, rozumując, że występować z zeroekranowemi filmami na schyłku wiosny nie opłaci się.

Film z życia gazeciarzy realizowany jest przez reżysera Forda; jest to pierwszy obraz filmowy z życia małych „gavroche'ów" warszawskich. Temat miły, ujmujący, a nadewszystko świeży, oryginalny, nie mający nic wspólnego z dotychczasowym szablonem scenarjuszy filmowych. „Wykradzenie 10 więźniów" (reżyserja Ordyńskiego i Krawicza) będzie wersją filmową słynnego, owianego Dumasowskim iście czy Zevacowskim romantyzmem fragmentu z dziejów walk o niepodległość Polski w 1905 r.

Z New Yorku donoszą, że zmarł tam słynny aktor, dyrektor teatralny i filmowy, Dawid Belasco.

Na rynku filmowym w Polsce jest cicho. Ale kapitaliści zagraniczni, rozumiejący snadź dobrze korzyści, mogące wyniknąć z opanowania filmowej produkcji u nas—czynią już zabiegi, mające na celu powstanie wielkiej wytwórni z kapitałem zagranicznym lub mieszanym. Czy projekty te dojdą do skutku — niewiadomo. Jest ich kilka, a jednym z nich interesuje się sławny śpiewak Jan Kiepura, który wespół ze znanym teatrologiem i krytykiem filmowym Michałem Orliczem zamierza podobno stworzyć wielką wytwórnię na terenie zagranicy, pozostającą jednak w ścisłym kontakcie z krajem.

Niedawno nakręcono w Ameryce film p. t. „Tradern Horn". Scenarjusz tego filmu jest oparty na powieści pod tymże tytułem, a powieść ta nie jest wytworem poetyckiej fantazji, lecz epizodem z życia niejakiego Alojzego Horna.

Powieść osiągnęła wielki sukces, w krótkim czasie przełożono ją na język francuski i niemiecki. Bogata i nieprzeciętna treść wprost wołała o zrealizowanie w filmie. Po krótkiem wahaniu, spowodowanem przez przewidywane niebezpieczeństwo i niezwykle wysokie koszty produkcji, wytwórnia Metro-Goldwyn - Mayer postanowiła podjąć się realizacji filmu i powierzyła realizację znakomitemu W. S. Van Dyke'owi, twórcy „Białych Cieni" i „Poganina". Po dokładnem przygotowaniu wyruszyła do Afryki ekspedycja filmowa wytwórni Metro - Goldwyn, uwożąc z sobą przenośne atelier do nakręcania filmu dźwiękowego, reżysera, aktorów, operatorów i t. d. Nakręcanie filmu „Trader Horn" trwało prawie dwa lata. Dzięki pomocy miejscowych władz kolonjalnych udało się ekspedycji dotrzeć do najdzikszych miejscowości, aby na ich terenie nakręcić opisywane przez Horna sceny. Film ujrzymy na ekranach stolicy.

K.

„Wojna polsko-turecka" na Dynasach

W dn. 4, 5 i 6-go lipca r. b. na Dynasach dane będzie wspaniałe widowisko historyczne p. n. „Wojna polsko-turecka", w którem wezmą udział konne oddziały policji warszawskiej przebrane w ciężkie zbroje husarji polskiej, oraz kostjumy janczarów tureckich.

Dwa „wrogie" obozy wydadzą sobie walkę podczas której odegrają partję „żywych szachów".

Prześliczna ilustracja muzyczna widowiska, którą wykona orkiestra I-go pułku szwoleżerów, staranna reżyserja A. Piekarskiego, barwna oprawa dekoracyjna J. Hollaka, wszystko to zapewnia widowisku powodzenie nie mniejsze od tego, jakiem cieszyło się ono podczas wystawienia go na Wawelu w Krakowie.

Szlachetny cel widowiska — zebranie funduszów na wysłanie dzieci policjantów na kolonje letnie przez Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna"—powinien zgromadzić na Dynasach tłumy zarówno dorosłych, jak i młodzieży szkolnej, dla której tego rodzaju widowiska historyczne są najlepszą lekcją dziejów Polski.

Zgon gen. Władysława Jaxy-Rożena



W DN. 24 CZERWCA ZMARŁ W WARSZAWIE KOMENDANT GŁÓWNY ZWIĄZKU STRZELECKIEGO, GEN. BRYGADY INŻ. WŁADYSŁAW JAXA-ROŻEN

„Z MOIM PECHEM"

Mam wrażenie, że ciężkie czasy — na które skarżymy się od tak dawna — weszły już w przyzwyczajenie. I myśmy przyzwyczaili się do nich, i one do naszych ministrów skarbu, i mamy zawsze pocieszenie, że mogłoby być jeszcze gorzej, a zagranicą nie jest lepiej.

Człowiek, użalający się na ciężkie czasy, nie jest wogóle niebezpieczny, ani szkodliwy. Ten, który skarży się na nie, bo mu dokuczyły, spotka się z ogólnem zrozumieniem i współczuciem; ten, który się żali na ciężkie czasy, chociaż nie dały mu się wcale we znaki, uchodzić będzie za taktownego, gdyż się dostroił do ogólnego tonu — i zgóry wiadomo, że nie można spodziewać się po nim pożyczki.

Ale jest jedna kategorja ludzi, wręcz szkodliwych dla otoczenia i dla siebie samych: to ci: „z moim pechem" i ewentualnie „z twojem szczęściem".

Swoim pechem zatruwają twoje szczęście, więc jak im dać radę?

Jak dać radę temu, który się gniewa, irytuje, denerwuje, a wkońcu mówi: z moim pechem.

Istnieją dwie kategorje pechowców. pierwsi są, a priori, pechowi, godzą się na swojego pecha, kochają go i obyć się nie mogą bez niego. Tych pozostawmy ich pechowi. Oraz tacy, którzy pechem zasłaniają się w razie ostateczności, a naogół łatwo wpadają w gniew, złość, irytację.

A że źródłem gniewu, złości, irytacji bywają często te same, skądinąd błahe przyczyny — przeto podaję kilkanaście recept na — gniew, zdenerwowanie i ewentualnego pecha.

Zamiast się irytować i wołać „Znowu mój pech, pękło mi jedyne sznurowadło".

Należy mieć zawsze tuzin zapasowych sznurowadeł w domu.

Nie denerwuj się, gdy twój znajomy wygra los na loterji.

Pomyśl raczej, że tylko głupi ma szczęście.

Gdy otrzymasz w upominku coś, co ci jest niepotrzebne, —

Podaruj komuś z rodziny.

Nie gniewaj się też, gdy telefonistka da ci złe połączenie, lub przerwie twoją rozmowę —

Wyobraź sobie, że jest miła i ładna.

To nie jest pech nosić ciasne obuwie —

Kupuj większe.

Nie złość się, gdy panienka, której się oświadczyłeś na nartach, okaże się nieczułą —

Zdejmij narty.

Nie gniewaj się, gdy ci autobus, do którego chciałeś wsiąść, ucieknie z „przed nosa" —

Poczekaj, aż nadjedzie drugi.

Gdy ci partner bridge'owy psuje wszystkie lewy —

Pomyśl, że raz grasz z nim, a dwa razy przeciw niemu.

Gdy kupisz w magazynie drogi model i spotkasz się w nim na balu ze znajomą, która ma kopję od malutkiej krawcowej —

Kup następnym razem suknię u malutkiej krawcowej, a może spotkasz się z modelem.

Gdy nikt nie śmieje się z twojego dowcipu —

Pomyśl, że dowcip był zbyt wykwintny.

Gdy każą ci podpisać protest —

Powiedz sobie, że lepiej podpisać protest, niż mieć weksel protestowany.

Gdy każą ci się zachwycać „cudownem" dzieckiem, co cię mocno nudzi, a nawet irytuje —

Pomyśl, że gdyby było twoje własne, uważałbyś je za „cudowne".

Gdy ci nie w porę każą płacić podatek —

Czy istnieje wogóle pora, którą mógłbyś uważać za odpowiednią do płacenia podatków?

„Z moim pechem" on się zaręczył z moją narzeczoną —

„Twoje szczęście", że nie uczynił tego po twoim ślubie.

H.

LOT NAOKOŁO ŚWIATA

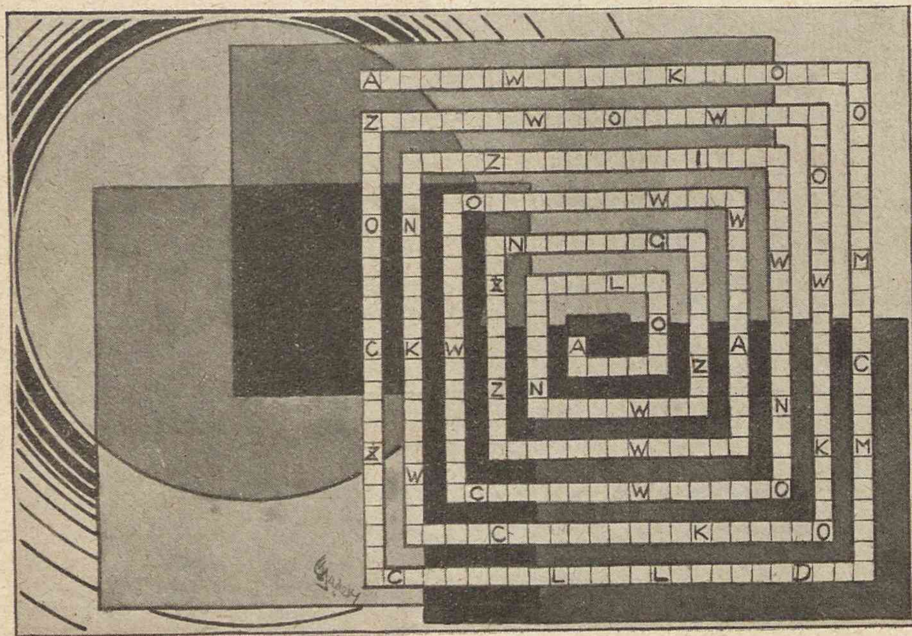


WILEY POST I HAROLD GATTY, AMERYKAŃSCY LOTNICY, W DRODZE PRZEZ DWA OCEANY: ATLANTYK SFORSOWALI W 24 GODZINY. OBECNIE SĄ W DRODZE NA ALASKĘ

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 54. POCZET MIAST POLSKICH.

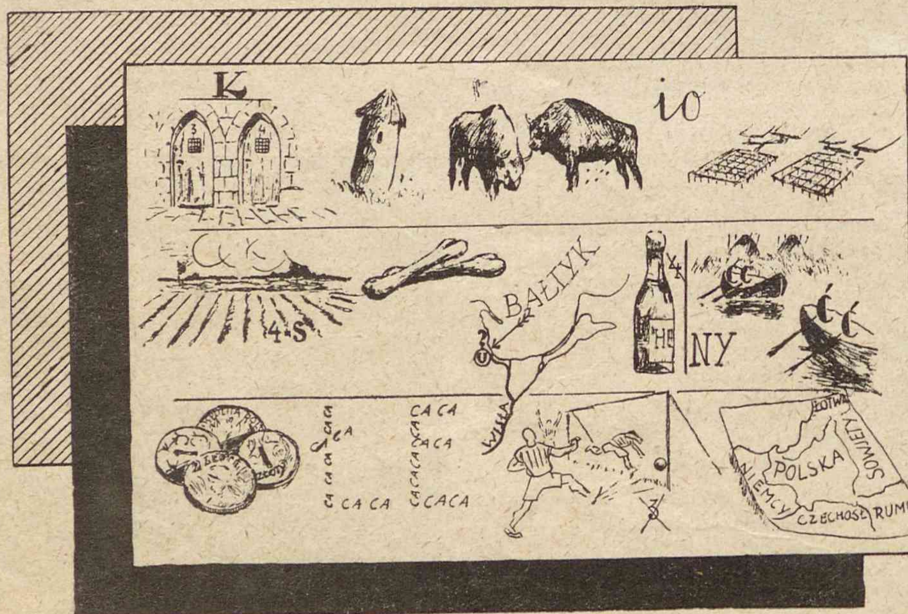
(Za rozwiązanie 4 punkty).



Utworzyć łańcuch miast polskich tak, aby ostatnia litera każdej nazwy była pierwszą literą nazwy następnej. W zadaniu uwzględniono jedynie większe miasta, wojewódzkie lub powiatowe.

№ 55. REBUS.

(Za rozwiązanie 4 punkty).



№ 56. ZADANIE LICZBOWE.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

3 .	×	. 4	=	7 . 4
. . 3	:	1 1	=	8 .
8 .	+	. 6	=	. 3 .
. 1	—	.	=	. 0
. . 4 .	—	. 2	=	. 5 .

W miejsca oznaczone kropkami wstawić odpowiednie cyfry, tak aby działanie pod kreską składało się z sum kolumn podkreślonych.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 24.

№ 47. PODWÓJNA GWIAZDA: Karol, Litwa, Artur, Radom, Maszt, Topaz, Zagon, Niger, Rodin, Napad, Dorsz, Zakon, Nakło, Ornat, Talar, Robak, Rubel, Laval, Liszt, Tatar, Rapir, Rabat, Tabor, Roman, Nisko, Orion, Nimfa, Arbuz, Zulus, Sukno, Ołyka, Alger, Ligja, Tosca, Rabka, Rosja, Odesa, Agata, Suita, Alina.

№ 48. KONIKÓWKA: Pamiętajcie, by nadesłać swoje uwagi o „Rozrywkach Umysłowych".

№ 49. ROZSYPANKA: Badanie, Agrafka, Rzewnie, Tonacja, Okrawki, Serafin, Zakręty, Gonitwa, Łazanki, Olejarz, Walizka, Astorja, Ceratka, Karabin, Imagina — *Bartosz Głowacki.*

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Berkmanowa Wacława (7), Boguszewska Jadwiga (7), Jarkowska Aurelja (3), Kociatkiewiczówna Zofja (10), Krzyżanowski Stanisław (4), Książkiewiczowa J. (7), Prawdzic Michał (7), Roykiewicz Wacław (7), Sobstel Henryk (10), Sułkowska Leontyna (10), Tietz Zygmunt (10), Trawińska Honorata (10), Zagajewski Adam (6), Zborowska Teresa (7), Żukowska Irena (6) — *z Warszawy,* oraz

pp. Borowiecki Tadeusz (10) — z Siedlec, Chortyńska Zofja (10)—ze Lwowa, inż. Chortyński Mieczysław (10)—ze Lwowa, Czaputowiczowa Marja (3) — z Zawiercia, Denasiewicz Kazimierz (10) — z Drohobycza, Fijałkowski Kazimierz (7) — ze Zgierza, Jakubowska Lili (10)— z Żychlina, Jasiński Wacław (6) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (6) — z Wilna, Karczewski Antoni (7)—z Wołkowyska, Kleczkowski M. M. (10) — z Sulejówka, Komarówna Hanka (10) — z Łodzi, Krauze Józef (10) — z Żyrardowa, Kwiekowa Jadwiga (10) — z Dobrzelina, Ludwicki Henryk (7) — z Zagożdżonu, Łukasiewicz Michał (10) — z Białegostoku, Malinowski Stefan (6) — ze Lwowa, Maliszewski Kazimierz (10) — ze Strzemieszyc, „Marek" (10) — z Łowicza, inż. Modrzejewski Józef (10) — z Lublina, Mokrzycka Helena (10) — z Drohobycza, Moszczyński Edward (10) — z Rembertowa, Pogodziński St. (2) — z Henrykowa, Prządowa Zofja (10) — z Wilna, Piecha Franciszek (10) — Mikołowa, Rakowiecka Helena (10)—z Lublina, Rutkowski Witold (10) — z Augustowa, Ruszkowski Henryk (10)—z Krasnegostawu, Sułocka Janina (10) — ze Zgierza, Ślaska B. (10) — z Ciuślic, Tobias Henryk (7) — z Kielc, Tyblewski Wacław (6) — z Poznania, Węgierski Tadeusz (10) — z Miłosnej, Zaleski Czesław (6) — z Kalisza, Życzyński Bohdan (7) — z Nowogródka.

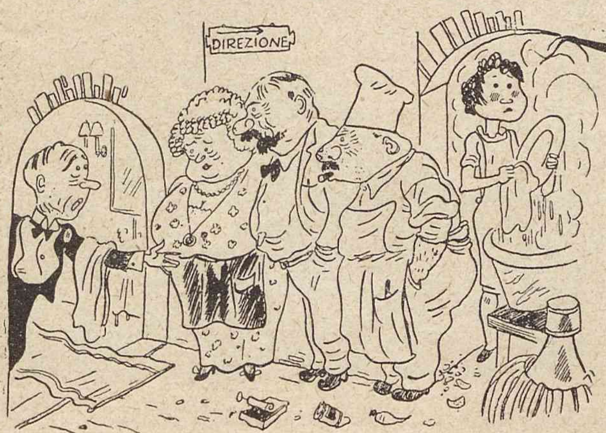
NAGRODY za trafne rozwiązanie poszczególnych zadań wylosowano dla:

p. *Zofji Chortyńskiej* ze Lwowa — F. A. Ossendowskiego „Pod polską banderą",

p. *M. M. Kleczkowskiego* z Sulejówka — K. Królikiewicza „Od Nicei do N. Yorku",

p. *J. Książkiewiczowej* z Warszawy — M. Lepeckiego „Na Amazonce".

HUMOR ZAGRANICZNY



W RESTAURACJI.

— Czego tamten gość drze się wniebogłosy?

— Powiada, że już trzeci nóż złamał na befsztyku, który mu podałem.

— Uspokuj go, że nie będziemy mu liczyć za złamane noże.

(Tribuna)



NOWA WYOBRAŹNIA O FAKTACH DZIEJOWYCH.
JÓZEF, SPRZEDANY PRZEZ BRACI.

— A ja wam mówię, że postąpiliśmy źle. Sprzedaliśmy go za tanio!

(Le Rire)

— Czemu jesteś taki zdenerwowany? Cóż ci się stało?

— Straciłem ostatecznie wiarę w kobiety. Żadna nie jest warta, by jej być wiernym.

— Nawet twoja narzeczona?

— Ona przedewszystkiem! Wyobraź sobie: dałem ogłoszenie matrymonjalne i pierwszą odpowiedź otrzymałem właśnie od niej...

*

— Czy nie zadługo trwa twoje narzeczeństwo?

— Stanowczo zadługo. On już zdążył stracić cały swój majątek.

*



— Podoba ci się mój kapelusz?

— Śliczny. Odmładza cię conajmniej o 30 lat!...

Wattsonowie wyjeżdżają do Europy. Odprowadza ich na przystań przyjaciel, Smith.

— Szczęśliwi jesteście. Jedziecie do Rzymu i zobaczycie Kapitol.

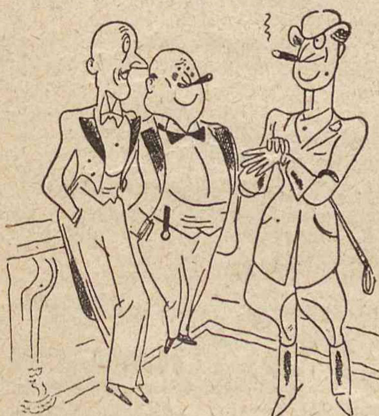
— O tak. My zawsze przedewszystkiem idziemy do kina.

*

— Jakto, pańska żona jedzie nad morze? Przecie zamierzała spędzić lato w górach.

— No tak, ale wyliczyłem, że kostjumy kąpielowe będą mnie kosztowały taniej, niż inne stroje.

*



— Więc masz tyle długów! Musisz mieć dużo zmartwień?

— Nie. Zmartwienie mają moi wierzyciele.

(Tribuna)

M i l j o n e r, do syna: — Pamiętaj, że do zrobienia majątku niezbędne są dwie cechy charakteru: poczucie odpowiedzialności i szybkość orjentacji.

S y n: — A na czem polega poczucie odpowiedzialności?

M i l j o n e r: — Poczucie odpowiedzialności polega na tem, aby dotrzymywać swych zobowiązań nawet wówczas, gdybyś sam miał na tem stracić.

S y n: — A szybkość orjentacji?

M i l j o n e r: — Ta zaś potrzebna jest po to, aby wiedzieć, kiedy swych zobowiązań dotrzymywać nie należy.

*



— Nie wiem, dlaczego te buty wydają mi się tak obszerne.

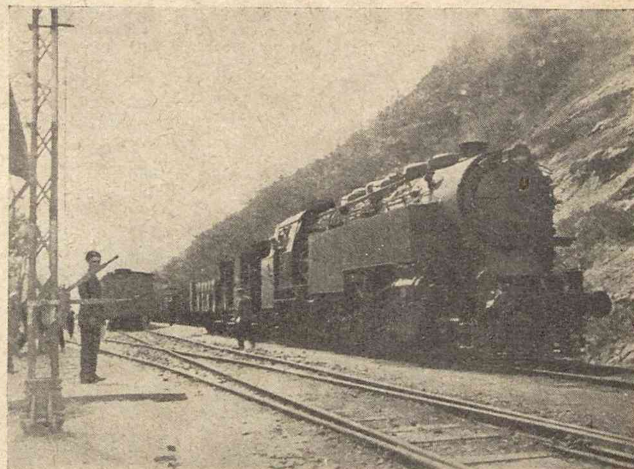
Zapominasz, że dziś myłeś nogi.

(Tribuna)

Tryumf ciężkiego przemysłu polskiego. Lokomotywy polskie na kolejach bułgarskich



KRÓL BORYS I KSIĄŻĘ CYRYL PODCZAS PRÓBNEJ JAZDY PAROWOZU



PAROWÓZ CEGIELSKIEGO PODCZAS JAZDY PRÓBNEJ NA ZNACZNEM WZNIESIENIU W DRODZE DO GÓRY SARAMBEJ

Z szerokiego świata

Jeden z paryskich tygodników opowiada nową anegdotę z niewyczerpanego zapasu: „enfants terribles".

Matka pokazuje małemu synkowi obrazek, przedstawiający prześladowanie chrześcijan.

— Patrz synku — mówi — jak nieszczęśliwi są ci ludzie: wypuszczono na nich lwy, by ich pożarły.

— Ale patrz, mamo, — odpowiedział mały — jaki biedny jest ten mały lew w kącie, który nie ma już ani jednego chrześcijanina do zjedzenia...

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.*

Druk. Galewski i Dau, Warszawa




FLIT
niszczy wszelkie owady szybciej


FLIT
najlepsza ochrona od robactwa


FLIT
w żółtej blaszance z czarną opaską

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700,—
„ II „ 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
„ III „ 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300.—
Przed powieścią. . . . Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
Szpitalna 12. Tel. Administracji 504-00 i 501-51
KONTO CZEKOWE P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcz. 7.— zł., kwartalnie 21.— zł. Zagranicą miesięcznie 9.— zł.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Druk. Galewski i Dau, Warszawa



P